№ 46. Warszawa, dnia 5 (17) Listopada 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. –Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział II.

W chwili rozpoczęcia naszego opowiadania, Franek już kilka lat pracował przy Wiśle i miał wówczas prawie lat dwadzieścia cztery skończonych. Sprytny, zręczny, i dość oszczędny nie zajmował się wprawdzie wiele przyszłością, dbał o nią jednak i tak się rozporządzał, że jutra zawsze był pewny a nawet i przez cały miesiąc dałby sobie radę, gdyby zaniemógł lub Wisła odmówiła zarobku. Mieszkał razem z Antonim parobkiem u rzeźnika w małej izbinie a raczej budzie obok stajenki dla konia i krowy przeznaczonej. Wprawdzie ściany tej siedziby ułożone z desek ze starych galarów, pełne były dziur i szpar różnego rodzaju i wiatr dobrze przez nie gwizdał, ale mieszkańcy na tak małe niedogodności nie zwracali nawet uwagi. Mieszkając wspólnie żyli w jak najprzykładniejszej zgodzie: Franek za mieszkanie wynagradzał pomocą w utrzymaniu podwórza w czystości, a Antoni, jako niebardzo zamiłowany w pracy i wiecznie na wszystkich i na wszystko narzekający, usługi te Franka przyjmował z wielkiem zadowoleniem i często obdarzył obrywkami rzeźniczych wyrobów, o które umiał się zawsze wystarać z wielkim sprytem i przebiegłością. Antoni był krępy, barczysty, z wielkiemi wąsami i pucołowatą twarzą, na której po jednej stronie barwiły się plamy czerwone, po drugiej białe a na nosie skrzniła się purpurowo fioletowa powłoka. Głowę zawsze miał okrytą zwyczajną czapką ale bez daszka na bakier przekręconą, na sobie kurtkę sukienną nasiąkniętą jak bibuła kilkoma funtami różnego tłuszczu i obszerne płócienne szarawary, co wszystko przy zawadyackiej postaci i chodakach dobrze znoszonych, robiło go podobnym do bandyty szukającego zdobyczy. Mimo jednak tej surowości w całym wyrazie twarzy, szczególniej gdy gęste nastrzępione brwi zmarszczył, przebijała w niej jakby dobroduszność a nawet czasami łagodność i widoczna poczciwość, nader sprzeczna z szorstkiem obejściem i ciężkiemi niezgrabnemi ruchami. Pewny swojej moralnej wyższości nad każdym, nawet nad rzeźnikiem u którego służył, stan swój służby uważał za przemijający, za coś tak niezgodnego ze swą osobistością, że nawet na chwilę nie wątpił iż wróci do stanu mu przynależnego. Jakim jednak miał być ów stan przynależny mu, tem się nie zaprzątał nigdy, wierzył tylko w siebie i w los że się odmieni. Służbę też swoją uważał jako konieczność przemijającą, wypełnianie przyjętych obowiązków jako łaskę, a wszelkie domagania się posługi i dokładności w jej wykonaniu, jako niesprawiedliwość losu na którą nie śmiejąc jawnie oburzał się cichaczem, mamrotaniem pod nosem, marszczeniem całego oblicza i potrząsaniem głowy w sposób wielce znaczący. W izdebce było bardzo ubogo: przy jednej stronie stały dwa łóżka za sobą, bardzo proste i bardzo stare, zasłane prostą słomą okrytą grubą zgrzebną płachtą. Leżało na nich coś do poduszki i kołdry podobne, ale w przybory te trzeba się było dobrze wpatrzyć, aby poznać ich przeznaczenie. Po drugiej stronie przy ścianie stały dwie skrzynki mieszczące w sobie różne rupiecie, złożone z garderoby ich właścicieli i różnych szczątków i zapasów śpiżarnianych. Franka skrzynka była okazniejsza, lepiej zaopatrzona, i zamknięta na kłódkę. Antoniego zamykała się na klucz ale jedną zawiasę miała oderwaną. Nad temi jedynemi sprzętami wisiał harapnik Antoniego do pędzenia trzody na targu zakupionej, obok niego małe lusterko w połowie rozbite, a na ziemi pomiędzy kuframi stał mały stołeczek służący do wspinania się przy utykaniu dziur i szpar, gdy wiatr zbyt silnie dmąc wciskał przez nie deszcz i śnieg grożąc zburzeniem całej siedziby. Antoni zabrał go prawem kaduka z sionki swoich gospodarzy, a gdy się rwetes w domu zrobił o jego kradzież, razem z drugiemi kręcił głową i na złodziei tak zajadle powstawał, że gdyby był którego w tej chwili dostał w ręce, z pewnością nie wypuściłby bez zbicia na kwaśne jabłko.

— U rzeźnika się indorzą o ten głupi stołeczek, rzekł do Franka, wchodząc po tej burzy do izbiny. Ale niech się indorzą, co mi w garść wpadnie to przepadnie. Im dobrze bogaczom mieszkać w wygodzie a mnie jak psa mieszczą w budzie, w której tak nieraz gwiżdże jakby dyabli tańcowali. To jakże mam się po drabinie wspinać do utykania dziur kiedy z ziemi trudno do nich ręką sięgnąć? Ho! ho! żebyście z krzyku popękali, to stołeczka nie oddam, dopóki przecie i mnie fortuna nie zajrzy w oczy. Ja nie złodziej, tylko radzę sobie jak mogę żeby nie zginąć.

Pomimo tej nędzy widocznej w całem równie nędznem mieszkanku, znać jednak było pewną chęć ozdoby jego. Nad łóżkiem Antoniego wisiał obraz Matki Bozkiej Częstochowskiej, zakurzony, zapylony, w ramach do połowy rozbitych a pod nim mały krzyżyk z ukrzyżowanym Chrystusem. Obraz otaczał wianek z choiny utkanej nieśmiertelnikami, a krzyżyk od ściany oddzielała duża ćwiartka złoconego papieru rzęsisto upstrzona czarnemi plamkami. Nad łóżkiem Franka w głowach, wisiało kilka także obrazków ze Świętymi, ale ozdobniejszych, staranniej utrzymanych; zawieszone nad niemi palmy i wianki, miały pewien wdzięk w ułożeniu, widocznie

z namysłu pochodzący, a na bocznej ścianie wisiało kilka rycin litografowanych, przedstawiających młode i ładne kobiety. Franek lubił na nie spoglądać, ale i Antoni zergał chętnie oczami, chciał nawet jedną najlepiej upodobaną przywłaszczyć sobie podobnie jak stołeczek, ale rano zawiesiwszy ją nad łóżkiem, wieczorem zobaczył przeniesioną na dawne miejsce. Niespodobała mu się ta przemiana, skrzywił się, mruknął i zobaczywszy że Franek najspokojnięj zajęty jest łataniem codziennego kaftana, machnął ręką mówiąc:

— Mniejsza o to! Jak mi tylko fortuna zajrzy w oczy, to zaraz sobie upatrzę taką samą dziewczkę i ożenię się. Tak, ożenię się, bo mi kawalerstwo już zbrzydło.

To mówiąc spojrzał w lusterko, zakręcił wąsy wiecznie mu w usta wsuwające się, przyjrzał ze skrzywieniem nosowi i dał mu prztyczka za purpurowo fioletową barwę, szepcąc ze złością:

— Żebyś przepadł dyable wenecki!

W dzień świąteczny, rankiem przy końcu Stycznia, Franek przygotowywał się do wyjścia i czyścił buty z długiemi cholewami. Antoni z buńdziuczną miną wszedł do izby, przyjrzał się czynności swego towarzysza i przekręcając czapczynę na bakier rzekł:

— Trzeba i mnie pomyśleć o garderobie, bo przy tej pracy to wszystko wychodzi z głowy. Wrzeszczeć to umieją, Antoni jedź z mięsem do Warszawy, pędź woły do szlachtuza, goń wieprze co ci się jak mrówki rozłażą, zamieć podwórze, przynieś wody, narąb drzewa, a wszystko z takim rozkazem jakby jacy hrabiowie. Nie, dłużej nie wytrzymam, trzeba się raz z tego wyzwolić, czyż to ja nie mogę być czym innym tylko parobkiem? Co prawda głodu nie mam, ale co gonią do roboty to gonią, ledwo że czasem człek prześpi się po południu.

— A przed południem? zapytał Franek uśmiechając się.

— Raz tylko, jak Boga kocham, raz tylko przycupłem, to piekła narobili takiego, jakby się cała Praga paliła. Nie, tu dłużej i pies nie wytrzyma.

— Ej! już rok cały tak pan Antoni narzeka, a równie siedzi, bo wie że w niczem krzywdy nie ma.

— Ba! bo nie dam się skrzywdzić, ale równie żebym nie zabiegał, toby krzywda na mnie niejedna spadła. Ot na ten przykład u naszego rzeźnika to codzień pieczeń na obiad, a nam dają tylko we czwartek i w święto. Czy to nie krzywda? W inne dnie to strasznie skąpo, tylko rosół, mięso i jaka jarzyna z gnatami. Co prawda napakują to tego jak w koryto, ale żeby człek należał do prostego chłopskiego narodu, toby się nabuchał ziemniaków i kapuściska i byłby syty, ale ja radbym przecie coś delikatnego, do czego nawykłem w młodych latach.

Franek niewiele zważając na narzekania Antoniego, do których zresztą jak najzupełniej był przyzwyczajony, wyczyściwszy buty zajął się przygotowaniem wody na misce do mycia.

— Cóż to Franusiu, zapytał jego wspólnik, nie myślisz już dziś pomódz swemu przyjacielowi? Podwórko pełne śmieci jeszcze nie tknięte miotłą a ty...

— A cóż pan Antoni robił cały ranek?

— Co robił? Mój kochany z temi babami to rady sobie dać niemożna. Każda radaby pogadać, tu postój trochę, tam trochę, ta trajkocze jak w młynie, tamta zatrzymuje, ta łapie, tamta capie, a tu czas idzie i idzie. Oj! z temi babami to urwanie głowy!

— To czemuż teraz pan Antoni mitręży?

— A bo ubrać się muszę do kościoła i Walenty cieśla prosił mnie na flaki.

Franek poruszył ramionami i nic nie odrzekłszy zaczął się myć. Antoni popatrzył na niego, potem na kufer, machnął ręką i wydobył flaszkę z wódką, spory kawał chleba i pół sznura serdelków świeżo ugotowanych.

— Trzeba się posilić, w brzuchu czczo jak u wieprza przed zabiciem, mówił Antoni układając wyjęte rzeczy na stołeczku. Chodź Franusiu, wódka choć nie słodka ale dobra, a serdelki świeżo ugotowane. Jak noszę wodę do kuchni, to zawsze wezmę jaki sznurek serdelków, bo dla czegóż nie dają co dzień pieczeni?

— Nie pogardzę waszym poczęstunkiem, odezwał się Franek obcierając z umycia, ale podwórza nie zamiotę bo nie mam czasu.

Antoni stanął jak wryty, zdało się że mu włosy na głowie najeżyły się tak go przestraszyła myśl spełnienia roboty którą był pewny że cudzemi dokona rękami.

— Jakto, nie zamieciesz Franusiu?

— Nie, nie zamiotę, nie mam chwili nawet wolnej i muszę iść za interesem.

— A gdzie, do kogo?

Franek lekko się zarumienił i po chwili wyjąkał nieśmiało:

— Idę... za pilnym bardzo interesem... sam jeszcze nie wiem gdzie.

— A czy czasem, nie do tej judaszki, co to oczy jej latają jak jaskółka gdy chwyta głupie muchy po świecie.

Franek odwrócił się plecami do Antoniego i udał pilne zajęcie przy otwartym kufrze, ale nic nie odpowiedział. Antoni pokiwał głową i mówił dalej:

— Zamiataj nie zamiataj to mi wszystko jedno, ale powiadam ci Franusiu strzeż się! Synogarlica taka to dobra na patrzenie ale nie na kochanie prawdziwe. Oj! znam ja to, dobrze znam. Nie zawsze żyłem w takim jak dziś upadku, i ja mam serce: dziś człek podupadł, to wygląda jak strach, ale jak wrócę do swego stanu to i ja się ożenię, ale nie z taką jak tamta synogarlicą. Ho! ho! nie głupim. Bo to panie...

— Dobrze, dobrze, dosyć już tego, przerwał nagle Franek trzęsącym do wzruszenia głosem. Pan Antoni wie, że nie lubię żadnych różnych niepotrzebnych wywodów.

Antoni wpatrzył się w niego, pokręcił wąsy, machnął ręką i nalewając kieliszek wódki rzekł:

— Do ciebie Franek, kto pije to żyje i zdrów. Gdyby nie wódka, toby człek przepadł przy wieprzach i tem miotlisku. Bo czy to mi jaka zabawa, jaka uciecha w służbie? Czy to jaki strój na mnie okazały albo w izbie wygoda? Rzeźnik zabierze się z żoną do teatru, albo zasiądą do kart w domu, albo pójdą do znajomych to i zabawią się, a ja w kółko zawsze jedno, miotła albo wieprze. Jedyna uciecha kieliszek wódki, nie dla tego żebym był pijakiem, bo brzydzę się pijaństwem, ale gdy mi zrobi się smutno w tej poniewierce, to po kieliszku jakoś raźniej, jakoś do serca przybywa otucha że to przecie tak na wieczność nie pozostanie, człek ze smutkiem rozstaje się i życie nie tak mu brzydnie. Do ciebie Franusiu, daj ci Boże zdrowie.

Kolej spełniono, Antoni skrzywił się, otrząsnął i rozrywając sznur z serdelkami podał ich kilka Frankowi. Potem przekręcił czapkę, pomuskał wąsy i krzątając się około miotły, zaczął pomrukiwać niby jakąś piosenkę, świadczącą pochlebnie o skuteczności lekarstwa na poprawę humoru zażytego.

Przez ten czas Franek dokończył przystroju. W świeżej bieliźnie, w surducie dosyć nowym. i z włosami starannie uczesanemi wyglądał wcale przyzwoicie. Wdzięk młodości jaśniał mu z twarzy rumieniąc policzki i nadając blask oczom pełen życia tak zgodny z jego silną i prawdziwie męzką budową. Kiedy odbywał ostatnie przygotowanie z kapeluszem aby mu nadać jak najlepszy pozór, Antoni trzymając miotłę wpatrzył się w niego ze szczególnem zajęciem. Franek włożył kapelusz na głowę, przejrzał się w lustrze, poprawił ubrania i kiedy już miał wyjść, Antoni zatrzymał go chwytając za połę surduta.

— Czekaj no Franusiu, rzekł, już widzę co się święci. Straganiarka miała racyą mówiąc że cię ta judaszka oczarowała...

— Mój panie Antoni, przerwał Franek niecierpliwie, nie mam czasu...

— Nie Franusiu, żal mi cię, posłuchaj: gdybym pochodził z prostactwa, tobym ci powiedział: ośle dardański jesteś waryat! Ale że człowiek z innego stanu tylko przez los prześladowany, to ci powiem delikatnie, że sam dobrowolnie pchasz się w biedę, a ja nie mogę na to patrzeć...

— No, dobrze, dobrze, ale puść mnie panie Antoni.

— Zamiataj podwórze nie zamiataj to i tak muszę sobie dać radę, mówił dalej Antoni z niezwykłą mu czułością. Ale ci powiadam strzeż się tej synogarlicy, tej judaszki bo przepadniesz. Czyż nie wiesz...

— Wiem! puść mnie panie Antoni.

— Wiesz, i idziesz do niej?

— Wiem i idę do niej.

— Pfu! do biesa! Lecz słuchaj Franusiu, żal mi cię, posłuchaj starego jakby ojca, a ojców to i w piekle szanują. Pokochałem cię boś uczciwy chłopak i szanujesz biednego Antoniego, gdybym mógł tobym się z tobą duszą podzielił bo nic innego nie mam do podziału. Taką moja dola! Mówię ci z płaczem, Bóg widzi że z płaczem, i Antoni obtarłszy rękawem oczy położył rękę na Franka ramieniu. Porzuć ją, dziś jeszcze, uciekaj na bory na lasy ale w progi jej nie wchodź! Jeśli tego nie zrobisz wplączesz się w biedę na całe życie, zatracisz się a jabym się zmartwił gdybyś się zmarnował. Porzuć ją!

Franek widocznie walczył z sobą, rozbrojony czułością Antoniego wahał się i gdy ten sciskając go drżącym mówił głosem: porzuć ją, porzuć! westchnął ciężko i odrzekł:

— Nie mogę panie Antoni, Bóg świadkiem że nie mogę. Widać że mi Bóg taką dolę wybrał, niech się więc spełni co mi przeznaczono.

Więc pójdziesz?

— Pójdę!

— I ożenisz się?

— Ożenię!

Antoni machnął ręką z pognębieniem (*), Franek

(*) Postać parobka Antoniego przez Sprawozdawców, uznaną została za najbardziej realną, dlatego, że więcej ujemnie jak dodatnio została przedstawioną. Parobek sprawujący tak liczne obowiązki, a mieszkający zimą i latem w budzie, w której dbalszy gospodarz nie pomieściłby już nie mówię psa lub konia, ale skóry z nich z obawy aby z braku dobrego powietrza nie zgniła, nie została zjedzoną przez myszy lub ukradzioną przez złodzieja, otóż człowiek zmuszony mieszkać w tak nędznej budzie, choćby chciał i gwałtem pragnął być innym, zostać nim jednak nie może i musi być brudasem, niechlujem a nawet pijakiem. Nie wysypiając się nigdy należycie, zmuszony co chwila wstawać w nocy dla otwierania bramy, w zimie prześladowany zimnem, w lecie krótkością nocy i upałem, cztery razy dziennie obowiązany do polewania ulic, wysełany z każdym interesem na miasto lub do cyrkułu, obowiązany zaglądać we wszystkie kąty kamienicy, utrzymywać w nich porządek, całą zimę prowadzić wojnę ze śniegiem i lodem, a w jesieni i na wiosnę z błotem

wybiegł na podwórze i z bramy wszedł na schody prowadzące do małej facyatki drugie piętro stanowiącej. Przy drzwiach mieszkania zatrzymał się: z wnętrza dochodziły go głosy rozmawiających kobiet. Śmiano się, chichotano, Franek nadsłuchał i po chwili poruszył klamką.

— Kto tam? zapytano ze środka.

— To ja panno Józefo, otwórz panna.

— Ach! to ty panie Franciszku, cóż tak rano?

— Chciałbym się z panną rozmówić...

— Nie można, jesteśmy nieubrane.

— To niechże panna choć rączkę poda.

— Rączkę, a to po co?

— No, tak na dzień dobry, idę za interesem...

Drzwi się uchyliły i pokazała się w szparze ręka młodej kobiety, biała, delikatna któr jby się nie powstydziła najpierwsza elegantka warszawska. Franek przytulił ją do ust i do piersi, lica mu zapłonęły i nie puszczając ręki prosił:

— Puść mnie panno Józefo do pokoju choć na małą chwilkę.

— Kiedym nieubrana i tak u nas nieporządnie.

— Nic nie szkodzi, śpieszy mi się, a radbym choć chwileczkę z panną pogadać.

Panna Józefa opierała się jeszcze, ale wreszcie ulegając prośbie młodzieńca i namowie swej towarzyszki, oświadczyła że go puści ale musi troszkę zaczekać. Zaczęło się więc poruszanie sprzętów, przesuwanie, szepty, przyciszone chichotki, wreszcie drzwi się odemknęły i Franek wszedł do środka.

Panna Józefa była bardzo młodą zaledwie dwudziestoletnią. Czepek ranny osłaniał jej ciemne włosy, oczy niebieskie błyszczały wesołością a dwa dołki w policzkach nęciły uśmiechem. Nie była piękną ale powabną, pociągającą, a nosek cokolwiek zadarty świadczył, że lubiła mieć swoją wolę, a nie lubiła gdy się sprzeciwiano jej spełnieniu. Pomimo jednak oczów błyszczących wesołością i uśmiechniętych policzków, czasami czoło marszczyło się jakby śladem wielkiej dawnej boleści, który całej twarzy nadawał przelotny wyraz niezwykłego smętku. Okryta była salopką mantynową, z pod której spadała biała spódnica dochodząca aż do nóg okrytych w małe zgrabne pantofelki. W pokoiku przedzielonym ścianą z cienkich desek, znać było staranie o jak najmożebniejsze upięknienie całej siedziby. Była tam sofka, troszkę odarta, stolik przed nią jesionowy z czterema krzesełkami nieźle podniszczonemi, była komoda nakryta siatkową serwetą na której mieścił się zegar, kilka filiżanek bez uszek i dwa lichtarze i były wreszcie obrazki i fotografie zawieszone na ścianie, pomiędzy któremi lustro w starych zrudziałych ramach skliło się na głównej ścianie nad sofką. Kiedy Franek wszedł panna Józefa była sama i nie odstępując od drzwi zapytała miląc buzię uśmiechem.

— Cóż mi powiesz panie Franciszku? Tu tak nieporządnie, ja nieubrana...

— To nic nie szkodzi, po wczorajszej naszej rozmowie cośmy sobie przyrzekli...

— Przyrzekli? A co takiego?

— Czy to panna Józefa już zapomniała? zapytał Franek brwi marszcząc.

— Że się mamy z sobą pobrać? zapytała dziewczyna po małej chwilce ale takim tonem, jakby miała ochotę w głos się roześmiać. Ujrzawszy jednak zmienioną twarz Franka powstrzymała się i przybierając smutną minkę, mówiła dalej z oczami spuszczonemi:

— Myślałam mój panie Franciszku że żartowałeś. Jestem szwaczką, nie mam posagu ani wielkiej familii...

— Ja na to nie zważam i byle było kochanie prawdziwe to Bóg opieki swojej nie odmówi. Dorobimy się, będę pracować choćby nocami...

— A rybki będą? przerwała Józefa patrząc w oczy Franka. Brak nam drzewa...

— Wszystko będzie jak przynależy, odrzekł Franek tuląc do ust rękę dziewczyny, niechno sfunduję sobie łódź do przewozu do chleba nigdy nie braknie.

— A będzie i ciasteczko?

— I kapelusz i sukienka panno Józefo, bo przy własnej łodzi i starunku, to zarobek można mieć dobry.

— Przy własnej łodzi? Te będziesz przewoźnikiem?

— Przecieć wczoraj mówiłem o tem; odrzekł Franek znowu chmurząc się zapomnieniem tak ważnych szczegółów. Dziewczyna spostrzegła to, wyciągnęła rękę z pod salopy i klepiąc Franka po twarzy mówiła z uśmiechem szczerej radości.

— Ach! to dobrze że łódź będziesz miał swoją. Ja tak lubię Saską Kępę, chuśtawki, karuzele, tańce, to nas będziesz przewoził w każde święto. Nie prawda?

Mówiąc to Jozefa roześmiała się jak dziecko rozpieszczone, przyłożyła mu rękę do ust i jeszcze raz powtórzyła zapytanie. Młodzieniec o mało nie połknął ją oczami, usta przylepił do ręki na nich leżącej, zapłonął cały i wyszeptał:

— Prawda, prawda panno Józefo, byleś mnie tylko kochała, a na innych nawet nie spojrzała...

— Dobrze, dobrze mój Franusiu, ale idź już idź, bo mi się śpieszy z ubraniem.

— To i pójdę, ale radbym ztąd nigdy nie wychodzić.

Franek skierował się potem w stronę ku Warszawie i idąc dumał o białej pięknej rączce Józi, o jej wesolutkich oczach, dołkach figlarnych i ślicznej buzi co tak się miłośnie do niego uśmiechała.

— Ach! jaka to śliczna dziewczyna! mówił sobie w myśli. Gdybym był nawet królem to nie chciałbym innej żony. Śliczniejszej od niej nie widziałem jeszcze. Antoni stary żeby się jej przypatrzył, zmiękłby jak wosk.

Przeszedłszy most skręcił pobrzeżem i wszedł do kamienicy jednej z pobocznych ulic do Wisły dochodzących. Na dole w oficynie mieszkał żyd Berek i zajmował aż trzy pokoje, z których każdy był jakby składem różnych gratów nagromadzonych bez ładu i składu. Były to izdebki niewielkie, brudne i odrapane: w każdej stały łóżka z wysoko usłaną pościelą, przy nich szafy, krzesła i stoły każde z innego kompletu, wyściełane i wyplatane, na ścianach zaś, we wszystkich kątach i na wieszadłach, pełno było sieci, rydli, taczek, czerpaków czyli koncerzy do łowienia żwiru, różnego żelaztwa i worków próżnych i napełnionych. Kiedy Franek wszedł do pierwszej izby, zaledwie jako tako oświetlonej oknami z szybami zabrudzonemi i przepalonemi, przy ogniu kuchennym stała pani Berkowa w dość zaniedbanym przystroju; szwargot głosów dziecinnych wszędzie dawał się słyszeć.

— Czy zastałem pana Berka? zapytał Franek nie zdejmując kapelusza.

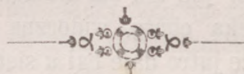
— A co to za interes?

— Chciałem się widzieć z samym panem Berkiem. Niebawem przybył gospodarz otoczony gromadą dzieci ciekawie wpatrujących się w przybyłego. Był to człowiek w samej sile wieku, w długiej zwykłej kapocie, w czapce futrzanej, z brodą długą cokolwiek już siwiejącą. Na twarzy z regularnemi rysami przebijała się powaga, łagodność i dobroduszność: jaśniał w niej wrośnięty uśmiech, tylko w oczach żywo biegających znać było przebiegłość handlarską, filuterność i moc rozwagi trzymający na wodzy wszystkie namiętności.

— Aj! to pan Skowroński! zawołał wyciągając rękę do Franka z przyjaznym uśmiechem. No, no, to gość dawno nie widziany, chodź panie Franku do mego pokoju tam pogadamy.

Był on trzecim i ostatnim z porządku niczem nie różniący się od poprzednich, tylko jedynie wielkiem krzesłem niegdyś wybitem skórą, dziś w małych cząstkach utrzymaną, przed którem stało stare zniszczone biórko założone papierami i różnemi książkami rachunkowemi. Berek bowiem jeżeli nie był czystej rasy nadwiślakiem, to żył z Wisły a przynajmniej z niej dźwignął się do względnej zamożności. Ciekawą niezmiernie była historya jego życia a i pouczająca zarazem.

(d. c. n.)



---

i ulewami, to łatwo zrozumieć, że człowiek podobny zwykle bezżenny, niewypoczęty, niewywczasowany, nienakarmiony dobrem i zdrowem jadłem, ani regularnie pobieranem, musi być ciągle jak odurzony i tylko w kieliszku wódki znajdować chwilowe pokrzepienie sił ciągle wyczerpywanych. Oto żywot powszechny wszystkich prawie stróży warszawskich z małym niezmiernie wyjątkiem: w kamienicach z wygodniejszemi dla nich mieszkaniami, dość obszernemi, widnemi, zaopatrzonemi jak dla człowieka w okno, piec i komin, inni zupełnie ludzie pełnią obowiązek stróży. Zwykle są żonaci i dzietni i każdy z członków rodziny zarobkiem z własnej pracy przyczynia się do utrzymania domu. Lżej im przeto a i pomoc lub wyręczenie w zajęciu łatwiejsze i pokarm lepszy nie doraźnie pobierany i wygoda domowa inna.

Stróży takich acz bardzo niewielu znam jednak w Warszawie, badałem ich, rozmawiałem, wypytywałem, pod różnemi pozorami wciskałem się do wnętrza mieszkania w czasie uroczystszych zebrań krewnych lub przyjaciół i nabrałem przekonania, że gdyby nad stróżami warszawskiemi roztoczoną została ludzka prawdziwie opieka i uważano ich nie za stworzenia mniejszej wartości od bydląt, ale za ludzi do nas podobnych, to i oni po ludzku wypełnialiby swe obowiązki, zniknęłyby w znacznej części na tę klasę ludzi skargi, nie obejmowaliby obowiązków tak ważnych ludzie zganiani z całego świata i wyrobiłaby się warstwa społeczna wyłącznie temu sposobowi zarobkowania poświęcona, w którejby ojciec syna od najmłodszych lat przyspasabiał na swego następcę. Dziś, któryż dobry ojciec a więc i człowiek, zmuszony zbiegiem okoliczności żyć tak gorzkim chlebem, chciałby poświęcać dziecko swoje na równie piołunowe życie? Nie mamy też ani stróży ani odźwiernych w naszych kamienicach, tylko popychadła, często więcej myślące o kieliszku jak o pracy, a czasami i wspólników złodziei i rabusiów.

Gdybyśmy jednak w tych popychadłach zechcieli zajrzeć do wnętrza ich duszy, znaleźlibyśmy i w nich uczucia prawdziwie ludzkie, tylko jakby umyślnie tłumione brakiem właściwej opieki. Takim jest stróż Antoni wprowadzony do opowiadania, baczny czytelnik łatwo pozna, że więcej zasługuje na współczucie jak na wzgardę. Gdyby u nas dziennikarstwo pilniej zajmowało się przy udziale publiczności, badaniem przyczyny złego jak zapobieganiu skutkom z niego wypływającym, to rozprawy jego musiałyby wydać praktyczne owoce i różne kwestye przez nie podnoszone, rozwijałyby się na gruncie niewzruszonym, dla przyszłości gotującym wielkie korzyści. Mamy tu na myśli oprócz stróży, całą służbę domową, żebractwo i rzemieszków, a nawet ludzi po wycierpieniu kary zwróconych społeczności nie na pociechę a nową plagę, często bardzo dotkliwą. W kwestyach tak ważnych niepodobna w tem miejscu rozpisywać się obszerniej, ale przedstawię je w następnych Obrazkach Warszawskich, jeżeli życie pozwoli na ich przygotowanie.

J. K. G.

SĄSIADKA.

„O Beranżere, przebacz mi że idę w Twój ślad...“
W izdebce mojej, bazgrząc jakieś wiersze
Trzy po trzy — księżyc swe oblicze srebrne
Zwrócił — o! światło było mi potrzebne.
Potrzebne gwiazdy i apostoł wiosny,
Romeo... lasów namiętny, miłosny.
Słowik mi śpiewał...

* * *

Spojrzałem — na wprost, ton żałosnej
Pieśni—cichy i rzewnym płaczem przerywany,
Drżał: gdzieżeś, gdzieżeś—mój ty ukochany?
Wszystko minęło — słowik dziś żałosny...
Już nie mam wiosny!

* * *

Spoglądam w Niebo, jako ptaszę one,
Co ma oczęta swoje wypalone.
Spoglądam w Niebo, patrzę w jasne zorze
I wołam z serca. Mój Boże — ty Boże!
Tyle krwi płynie, tyle łez cierpienia,
Dla świata pragnę, błagam przebaczenia.

Miron.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Rozglądnąłem się po chacie. Młynek, łóżko, cztery kąty i żelazny piec piąty tworzyły umeblowanie. Dwa długie żebra wołowe, muzykalny instrument murzyński, którym biją w takt przy śpiewach swoich z zadziwiającą zręcznością, wisiały na ścianie. Gospodarz wytłómaczył mi w swojej arcyzabawnej angielszczyźnie, murzyni bowiem sadzą się na górnolotne wyrazy i nie wymawiają dokładnie kilku spółgłosek, że celuje na wspomnianym instrumencie, którego klekot przypomina kastaniety. Twierdził, że mu płacą przyzwoicie za muzykę na każdym balu murzyńskim, ale, jak przystało dla pierwszorzędnego mistrza, grywał tylko w dobranych towarzystwach. Nagle uderzył się w czoło i obróciwszy się do małżonki, smażącej jaja i piekącej na węglach placki, zawołał:

— Maryo-Elizo-Anno (murzyni lubią długie szeregi imion chrzestnych), a czy wiesz, gdzie nasze kurczęta?

— Co tobie do kurcząt, Tekumse? (Ostatnie imię posiada słynny jenerał Sherman: wielu murzynów przybrało je od czasu wojny, gdyż brzmi szumniej nawet od ulubionych sobie Cezarów, Pompejuszów, Jerzych Waszyngtonów i t. p.) Co tobie do kur, Tekumse? Kury należą do kobiet. Nie mieszaj się w nieswoje rzeczy.

— Głupiaś. Wiem dla czego pytam. Przed godziną słyszałem, jak ten oto mulatta (pokazał palcem na niedaleką chatę, widoczną przez okno bez szyb) mówił, że jutro daje bal u siebie. Tego murzyna (tu pokazał na siebie) kury nie pójdą na ten bal. Zapędź je do kurnika i pilnuj jak oka w głowie, aż będzie po balu.

Miał racyę. Sak soplicowski okazałby więcej skrupułów względem cudzego drobiu, od murzyna, co się przygotowuje na przyjęcie gości. Kawony i sady także nie dojrzewają w obrębie kilku milowym, dokoła osad murzyńskich.

Ów zapowiedziany bal widziałem. Tańce murzyńskie i śpiewy poznali Europejczycy dzięki trupom skoczków, co pomazawszy twarze odgrywają rolę negrów w *caffés chantants*. Jak też niezmordowanie tańczy ten lud, szczęśliwy w swojej lekkomyślności i próżniactwie! Tańce ich, pełne skoków szalonych i dreptań sztucznych, znużyłyby szybko najzapamiętalszego czciciela europejskiej Terpsychory.

Wróciwszy do plantacyi opowiedziałem pani domu o komicznych stronach życia murzyńskiego, które mnie zastanowiły. Pani zadziwiła się, że jadłem z misy murzyńskiej. Krok ten oburzył już poprzednio mojego przewodnika, Mojżesza i Arona, (imię jednej osoby), czarnego nakształt smolnego kotła. W pieczy tej osoby zostawał mój pokój, buty, odzież i ja sam gdy wałęsałem się po za domem plantatorskim. Słowem Mojżesz i Aron był fagasem państwa Brackett, pożyczonym mi podczas mojego najazdu na tę gościnną siedzibę.

— Pana uderzają tylko śmieszne strony naszego społeczeństwa, rzekła pani B... po usprawiedliwieniu z mojej strony owej poufałości z murzynami. Gdybyś musiał wciąż ocierać się o ten motłoch, gdyby byt twój zawisł, jak nasz, od jego kaprysów, zbrzydłby ci on, jak nam zbrzydł. Patrz, oto trzy czwarte plantacyi zarastają krzakami... dzieci nasze odziedziczą dziczyznę, na wzór tej którą pradziadowie wydarli przyrodzie i Indyanom. Miesiąc nie mija, aby jedna z pozostałych rodzin nie opuściła nas, nie przeniosła się do miasta, do niechlujstwa, próżniactwa i takiego rozprzężenia stosunków rodzinnych, że ludność czarna wygasa szybko. Za lat 20 pozostaniemy bez robotników. Kto wie czy nie wypadnie podzielić plantacyi na drobne fermy i rozprzedać ją Włochom, lub Niemcom. Jakiż los czeka dawne rodziny, w obec takiego potopu proletaryatu z Europy? Mieliśmy majątki, znaczenie... mamy jeden z najpiękniejszych krajów, najmilszych i najzdrowszych klimatów na kuli ziemskiej. Rzeki nasze, potężne i liczne, płyną tak, jakoby je przeznaczyła Opatrzność na wielkie szlaki handlowe. Góry nasze obfitują w węgiel, rudy, kruszce. Cóż nam z tego? Czarna zmora cięży na nas, a nieszczęśliwe zmiany uczyniły te potulne niegdyś nasze narzędzia przedmiotem udręczenia. My tu szczęśliwsi od innych południowców!.. mamy trzech białych, na jednego murzyna. Lecz pojedź pan dalej, a poznasz całą doniosłość naszej klęski.

Z grzeczności dla damy, urocza jej główka pochyliła się ku wonnym kwiatom podczas powyższego, smętnego opowiadania, twarz długą, bladą oparła na dłoni, oczy jej zaćmiły się... słowem tworzyła żałośny obraz, z grzeczności dla damy nie pokazałem jej słabych stron tej jeremiady nad losem starych rodzin, nie powiedziałem, że kto sam się opuszcza, tego opuszcza dobrobyt i wzięcie. Któż mógłby sprzeczać się z tą nadobną, oczytaną, sentymentalną lilią Kentucky?

W tem srebrny głos zadzwonił za oknem. Wyjrzeliśmy... młodą damę wysadzał z powoziku jeden ze znanych mi już sąsiadów, notabene człowiek żonaty. Snadź przyjechał konno, gdyż Mojżesz i Aron oprowadzał jego rumaka po drożynie. Zapewnie eskortował właścicielkę karyolki.

— A to panna L... rzekła gospodyni. Poznasz pan najprzystojniejszą i najlepszą partyę w Lexingtonie... ale pomimo gracyi, dowcipu, plantacyi, latek trzydziestu, nie idzie za mąż. Pierwszy narzeczony zginął w wojnie domowej, a odtąd... ludzie rozmaicie mówią i trudno powtarzać wszystko co się słyszy... ale panna L. lubi samotne podróże i widocznie przenosi wolność nad węzły. Lecz ta ostatnia przejażdżka... z człowiekiem żonatym... trochę zaśmiała.

Goście weszli. Przyjęto ich grzecznie. Nie mogli się domyśleć komentarzy, wypowiedzianych niedawno o swojej wizycie. Damy w Kentucky nie celują ową *pruderie*, właściwą niektórym innym społeczeństwom. Wolność towarzyska sięga tu daleko... wiele rzeczy tolerują, chociaż krytykują je po za plecami. Panie L..., bogatej dziedziczce, wybaczano bardzo wiele. Z tego co słyszałem o niej i z jej obejścia w salonie, mianowicie z otwartego wyznawania poglądów niezupełnie utartych, domyśliłem się, iż spotkałem emancypantkę bardzo niebezpieczną, skutkiem wykształcenia, dowcipu i urody. W istocie prezydowała nad klubem „kobiet Lexingtonu żądających przywileju głosowania.“

Po rozmaitych żartach przeszła rozmowa na murzynów, temat niewyczerpany na Południu.

— Więc „Mojżesz i Aron“ służy u pani? pytała panna L...

— Przyczepił się nas i zbyć się go nie możemy, odpowiedziała gospodyni.

— Nie będzie was trapił długo. Raptem przyjdzie mu myśl do głowy i ulotni się... uważajcie, aby z nim nie ulotniły się jakie cenne drobiazgi.

— Czy kradnie?

— Któryż z nich nie kradnie? Wiadomo pani że należał do nas długo i służył nam po proklamacyi (*). Otóż ze wszystkich czarnych plag, które kiedykolwiek trapiły nasz dom, żadna tak nam nie dokuczyła. Opowiem wam jego historyę... przynajmniej w swoim domu.

Panna L... rozparła się wygodniej na nizkiej kanapce, obliczając każdą pozę na efekt, i zaczęła:

— Moi rodzice nigdy nie dopuścili się gorszej spekulacyi, jak kupując Mojżesza i Arona, a kupili go z mojej winy, gdyż napierałam się o niego, zwyczajnie jak kapryśna panienka. Chciałam mieć syna cioci Diany (**), co mnie niańczyła, nim ją sprzedano plantatorowi z Luizyany. Otóż podczas wojny, gdy Butler zajął Nowy Orlean, napisała do nas ciocia Diana, że pan jej sprzeda nam jej dzieciątko bardzo tanio. Prosiła, abyśmy je kupili, gdyż nie chce żeby zostało wolnem, zepsuło się i rozwłóczyło. Lepiej mu będzie w dobrym domu.

— Jeżeli on w Nowym Orleanie zostałby wolnym, cóż go mogło zatrzymać w niewoli w Kentucky? zapytałem przerywając.

— Nie wiesz pan, wtrąciła gospodyni, że Nowy Orlean wpadł wcześnie w ręce Butlera i najpierw tam zerwano dawne, patryarchalne stosunki? Kentucky, niestety, nie wypowiedziało związku z rządem Lincolna, więc długo spodziewaliśmy się, że pomimo zmian w powstańczych stanach, u nas nic się nie zmieni. W końcu rząd wykupił naszych niewolników, a służbę buntowniczych stanów uwolnił, nie wynagradzając właścicieli.

— Właściciel Mojżesza i Arona ofiarował go tak tanio, że byliśmy pewni iż sprzedaje dziecko, mówiła panna L..., jedno z młodszych dzieci cioci Diany. Papa posłał mu pieniądze, prosząc aby przysłał malca statkiem parowym do Louisville gdzieśmy jeszcze mieszkali. Nikt nie przybył przez dłuższy

(*) Proklamacya prezydenta Lincoln'a; od niej datuje się wolność murzynów.

(**) Starych murzyńskich domowników zawsze nazywają ciotkami i wujami.

czas... zapomnieliśmy o całej sprawie. Raz, gdy mama siedziała na werandzie czytając, staje przed nią chłopczysko, ledwie o rok młodszy ode mnie... najstarszy cioci Diany, którą sprzedano żeby się pozbyć jej i męża, przybranego bez naszej wiedzy. Chłopak powitał mamę krótkim „dobry wieczór“ salutując ją po żołniersku.

— Czego chcesz? zapytała mama.

— Jestem Mojżesz i Aron.!! od ciotki Diany.

— Ty?!

— Tak, tak, ja! twierdził zawracając oczy. Mama i *massa* (pan) przysłali mnie tu.

— I nazywasz się Mojżesz i Aron.

— Tak! To moje imię... bardzo religijne... ja także religijny. Śpiewam hymny co wieczora... ja się bardzo dobrze i bardzo często modlę... ja bardzo dobry chłopiec.

— Kiedy cię posłali tu?

— Dawno już. Ale w drodze wzięli mnie żołnierze Yankesów na forysia oficerskiego. Ja bardzo dobrze obchodzę się z końmi i służę tak wiernie... służyłem mu... aż poszedł do piekła.

— Co mówisz chłopcze! zawołała mama, osoba bardzo religijna, więc zrażona tym wyrazem o poległym oficerze.

— Poszedł do piekła, tak, tak. Gdzież miał pójść człowiek co pił i klął i zabijał ludzi? Ale zegarek jego u mnie został, dodał Mojżesz i Aron, pokazując ładny zegarek, zdjąłem go z pana nim go pochowali. Pamiętam o interesach.

Stanęło na tem, żeśmy zatrzymali poczwarkę. Ojciec nieboszczyk postanowił zrobić z niego swojego osobistego chłopaka. Pokazując mu rozmaite rzeczy w swoim pokoju, które wypadało otrzepywać z pyłu; polecił nie dotykać swoich faworytalnych skrzypców.

— To ładne skrzypce, wtrącił chłopak, patrząc na nie oczyma iskrzącemi chciwością.

— Ładne i drogie. Czy umiesz grać.

— Ach, nasz pastor metodystowski w Luizyanie nigdyby nie pozwolił, abym się uczył tak zdrożnej rzeczy!

W trzy dni po tej rozmowie znikł z domu Mojżesz i Aron, a z nim poszły skrzypce. W tydzień później przyprowadziła go policya. Pojmano go w Frankfurcie, przed Kapitolem. Żebrał, grając wcale nieźle, jak na chłopaka w swoim wieku, na skrzypcach ojca. Ojciec ukarał go i posłał do kuchni, gdzie przez kilka miesięcy służył za model religijności, pilności i przemysłu. Wszystko umiał. Każde nieprzyzwoite słowo innych sług karcił przypominaniem o wieczności. Gdy reszta sług wyszła w niedzielę na hulankę murzyńską, on zasiadał w kuchni z biblią, sylabizując półgłosem. Mama zajęła się pobożnym chłopcem... wybaczono mu ów wojaż ze skrzypcami. Posyłano go na targ po sprawunki. Pewnego dnia znikł Mojżesz i Aron z koszem, oraz 10 dolarami, które miał zmienić. Niewidzieliśmy go przez cztery lata. Uwolniono murzynów, przenieśliśmy się do Lexington'u, miewaliśmy niepojęty kłopot ze sługami. Zmieniali co tygodnia. Raz potrzebowaliśmy stajennego. Stangret mulatta najęty niedawno poszedł na miasto i przyprowadził dorostka. Ojciec chorował, więc nie wdawał się w te rzeczy. Pół dnia minęło, zanim ja z mamą kazałyśmy sobie przedstawić nowego stajennego. Wszedł z najobojętniejszą miną, Mojżesz i Aron. Roześmiałyśmy się, lecz nie wypędziły go. Na cóż by to się zdało? Czy ten lub inny kłamca i złodziej zamiatał stajnię, nie robiło różnicy. Ale wyraźnie zakazano mu wstępu do domu. Później słyszałyśmy, że Mojżesz i Aron był zawsze przykładnie religijnym, pracę swoją spełniał jako tako, uczęszczał pilnie do kościoła i ubiegał się o względy i rękę mojej pokojówki. Pewnego dnia wybierałyśmy się z wizytą w sąsiedztwo, za miasto. Mama nie mogła znaleźć swego kołnierzyka koronkowego. Moja „panna“ zapewniała ją, że go widziała gdzieś, niedawno... ale to wszystko na nic... nie znalazł się na prędce. Odkładając ten interes do powrotu, wyjechałyśmy. Po południu, wracając do miasta, wysiadłyśmy u furty naszego parku, odesłały powóz do domu i postanowiły przejść się nad jeziorkiem. Przy końcu jeziorka stoi umajona, przestronna altana... na poły zrujnowana. Zadziwiły nas śmiechy, tupoty i głosy dziecinne z tak opuszczonego miejsca.

— Zajrzyjmy, co tam wyprawiają murzyni, rzecze mama.

Przyłożywszy oczy do zielonej tkaniny zobaczyłyśmy gromadkę dziatwy, niektóre dzieci należały do przyzwoitych rodzin. Zasłona dzieliła altankę na poły, uszyto ją z prześcieradeł, które nawet z oddalenia poznałyśmy jako swoją własność. Po chwili podniesiono zasłonę. Na krzesełkach zasiadła orkiestra z czterech murzynów. Każdy z nich miał hałaśliwy instrument. Przed nimi, z laseczką białą w ręku, stał Mojżesz i Aron, w kwiecistej kamizelce i najnowszej peruce mego ojca, który nosił zawsze drogie peruki, od kiedy wyłysiał skutkiem choroby. Zanim ochłonęłyśmy z podziwienia, dyrektor orkiestry zapowiedział występ sławnej panny Munubunu, której taniec i skoki zachwyciły już wszystkie stolice i wszystkich monarchów świata. W pannie Munubunu poznałyśmy moją sylfidę; kołnierzyk koronkowy na jej czarnym biuście należał do mamy... a taniec.. nie praktykuje się w Ameryce. Po tem przedstawieniu nastąpiły śpiewy, parodye religijnych hymnów, potem gimnastyka na trapezach, w których znów Mojżesz i Aron oraz jego narzeczona odznaczyli się. Wreszcie zdjął pan dyrektor perukę z głowy i zaczął z nią obchodzić widzów. Niektóre dzieci wrzucały do niej pieniądze, inne drobiazgi, widocznie wyniesione z domu bez wiedzy rodziców. Zebrawszy obfite łupy Mojżesz i Aron kazał dzieciom podnieść paluszki do góry i zaczął:

„Na świętego Mojżesza i Arona! przysięgam...

Matka nie mogła wytrzymać dłużej. Lękając się aby dzieci nie powtórzyły grzesznej przysięgi, że nie pisną słówka o przedstawieniach w altanie ogrodowej, wpadła do niej i zaczęła okładać Mojżesza i Arona parasolką, ku krzywdzie parasolki i ludzkiej sprawiedliwości, albowiem Mojżesz i Aron znikł z miasta z całą trupą i nie mogła go znaleść policya. W wiele lat później poznałam go u państwa. Gdzież on był przez ten czas?

— Alboż ja wiem? odpowiedziała gospodyni. Gdyśmy go przyjęli, zapewnił nas, że nigdy nie był w tych stronach... że przybył wprost z *Diksy* (stanu Georgii), szukając służby. Mąż mój zapewnia, że nigdy nie miał zręczniejszego służącego... że on wszystko umie. Słudzy uważają go za wzór religijności. Co wieczora zgromadza czeladź w oficynie i uczy ją hymnów.

Więc Mojżesz i Aron nie zapomniał zasad przywiezionych z Luizyany, pomyślałem. Nie potrzebuję się dziwić, co się stało z drobnemi, które zapomniałem na stole w swojej sypialni. O tej stracie nie wspomniałem nigdy łaskawemu gospodarstwu, lecz wynosiła ona kilka dolarów. Teraz wspomniałem o niej, żeby ostrzedz pp. Brackett o domowym złodzieju. Towarzystwo wytłomaczyło mi całą powyższą historyę, jako dowód gruntownej niemoralności murzynów, braku pojęcia pierwszych zasad wdzięczności lub szczerości, hipokryzyi śmiesznej często, lecz zawsze gorszącej.

Nie wiem jak postąpiła pani Brackett ze swoim pobożnym Mojżeszem i Aronem, albowiem tego samego wieczora podała mi raz ostatni swoją dłoń delikatną, gdy ją żegnałem, zanim odwieziono mnie do stacyi kolei żelaznej. Jechałem do groty Mamutowej, a pan Brackett towarzyszył mi w wycieczce. Ztamtąd miałem udać się, sam już, do Nashville, stolicy stanu Tennesee.

Towarzystwo wagonowe na Południu nie różni się od ludzi spotykanych w podobnych miejscach w północnych stanach. Przesąd miejscowy wyklucza prawie wszędzie murzynów, niższego stanu mianowicie, z powozów zajętych przez białych. Znaleźliśmy się więc pośród typów, wspólnych kolejom żelaznym całego świata. Siedziałem w towarzystwie kosmopolitycznem z mężczyzn otyłych, płacących tylko za jedno siedzenie, a zajmujących dwa prawie, z krzywdą dla spół podróżnych, śród bardziej jeszcze krzywdzących ogół panien piegowatych, z mnóstwem zawiniątek w bibule, torebek i klatek z papugą lub kanarkiem, psotnych malców depczących na nagniotki, egzaltowanej dziewicy, co otwiera okno uparcie, wpuszczając dym i okruszyny sadzy z lokomotywy, aby przypatrywać się „cudnym“ krajobrazom i pytać bezustannie o nazwiska każdego miejsca przydrodze; wreszcie młodego szatana, co zasypuje podłogę łupkami z pomarańcz i orzechów. Wszystko to spotykam od New-York'u do Kalifornii, od Niagary do zatoki meksykańskiej. Grupy różnią się cokolwiek strojem i akcentem, ale są to metamorficzne różnice, używając słowa z mineralogii, pomiędzy okazami tegoż rodzaju. Węgiel i siarka, w różnych postaciach, są zawsze węglem i siarką.

Właśnie tłomaczyłem swojemu towarzyszowi tę stereotypową niezmienność towarzystwa kolejowego w całej Ameryce, gdy pociąg zatrzymał się przy budzie z tarcic sosnowych, zwanej dworcem w *Cave City*. Wiele osób wysiadło na perronie... my z niemi. Z tej mieściny wybraliśmy się w trzęsącym szybkowozie, tak dawnej daty i budowy, że dotąd nie pojmuję, dla czego nie rozleciał się po pierwszej mili, przez górzystą okolicę do *Mammouth Cave* (groty Mammuta), słusznie czy niesłusznie uważanej za najwspanialszą pieczarę na kuli ziemskiej, w każdym razie, cud świata.

Jechaliśmy przez żyzne, ale na poły tylko uprawiane doliny. Przypominały mi one cudne padoły Tessalii, bo nawet plony wydają jednakie. Mijali nas konno rośli, barczyści, urodziwi górale. Lud ten tak piękny fizycznie dostarczał wybornych jeźdźców do kawaleryi południowej. Kogo tylko spotkaliśmy trzymał się nakształt centaura. Tęgość fizyczna tworzy jedyną zaletę mieszkańców podgórza w Kentucky i Tennesee; trzy czwarte tych ludzi nie umie czytać i pisać.

Z każdej chaty wybiegała za nami zgraja psów, ujadających z wściekłością wszystkich nędznych pokurczów. Nic mnie tak nie gniewa, jak kondel złego chowu, pędzący za mną i szczekający bez celu, jak gdyby go kto ze skóry obdzierał. Obfitość tej bezużytecznej psiarni służy za pierwszy, widoczny dowód półbarbarzyństwa okolicy. Czytałem w dziele statystycznem, którego tytułu nie pomnę, że im mniej owiec a więcej psów posiada kraj na milę kwadratową, tem niżej stoi w cywilizacyi. Południowe Kentucky i sąsiednie okolice muszą stać bardzo nizko, albowiem pan Brackett zapewniał mnie, iż skutkiem mnogości psów wypada zaniechać zupełnie chowu owiec, psy fermerów pożerały zbyt dużo użyteczniejszych zwierząt. Jednakże kraj ten sprzyjałby najszlachetniejszym owcom; jego szerokie skłony górskie powiewają pyszną paszą. Każdy mieszkaniec stękał na biedę, złe czasy i zły rząd, nie myśląc, czy psy nie zjadły dobrych czasów.

Na popasach wypadało zawsze chodzić od Annasza do Kaifasza. Gospodarz odesłał do nadzorcy, ten do stajennego, a wszystko mliło się na zamoru-

szanym, czarnym obdartusie. Jedni murzyni robią tu cokolwiek, ale jak!... pożal się Bogu!

Wreszcie stanęliśmy przed obszernym, nizkim, rozwlekłym budynkiem, tak oplecionym zielenią, że nie odbijał się prawie od zielonego pagórka tuż za nim, lub wyglądał, jak gdyby go wycięto z jednej bryły wraz z górą, albo tworzył najniższy jej taras. Do głównego domu dobudowano w różnych porach długie szopy, wskazujące w cztery strony świata. Całość tworzyła chaos zabudowań. Wnętrze odrapane, okna pozatykane staremi siennikami, drzwi co się źle zamykały, papier co odstawał od ścian nakształt łuski od ryby, wszystko przypominało Wschód raczej, niż Amerykę. Po obfitym obiedzie, lepszym niż powierzchowność domu, przysłano pół tuzina murzynów do jadalni, abyśmy wybrali z pomiędzy nich przewodnika. Pan Brackett wybrał jednego z nich, więc reszta zaapelowała do mnie z krzykiem, wyliczając wady szczęśliwego rywala. Widocznie, nie znają na Południu solidarności; wiążącej ciceronów w innych krajach, z krzywdą turysty. Nie zmieniliśmy naszego wyboru, pomimo że mi szepnęli nawet, iż ten *nigger* (nasz przewodnik) wpadł raz w podejrzenie o zabójstwo pewnego Anglika z pieniędzmi i wrzucenie go do niezgłębionej przepaści w grocie Mamutów. Wybraniec nasz stawił się punktualnie nazajutrz, o świcie.

Zapłaciwszy właścicielowi cenę wstępu do pieczary, ruszyliśmy do niej, śladem czarnego przewodnika. Minęliśmy skamieniałe, stojące drzewa, oraz szańce przedhistorycznych ludzi, podobne do owych pod Lexington'em. Lud ten musiał posiadać bogactwa, gdyż zadawał sobie niemało pracy, celem obrony takowych. Zabobonni tubylce wymyślili mnóstwo baśni o skamieniałościach, wałach i pieczarze, którym nie zbywa poetycznego uroku.

(d. c. n).

Korespondencya ze Lwowa.

Na placu wystawy już od kilku tygodni cicho i pusto, a wkrótce po usunięciu i sprzedaniu materyału z rozebranych budynków i pawilonów drewnianych, zniknie ostatni ślad wystawy, która pamiętną pozostanie nietylko dla Lwowa, lecz dla całej Galicyi. W samej chwili zamknięcia wystawy znikł nawet ów znany, ostatniemi czasy nawet w prasie warszawskiej, tak nielitościwie ale całkiem słusznie schłostany separatyzm Krakowa. Delegat krakowski otrzymawszy głos w chwili uroczystego zamknięcia wystawy, oddał jej hołd bezwarunkowo i starał się zręcznie usprawiedliwić nieobecność krakowskich producentów. Czy zręcznie się wywiązał z tego zadania, bo jakżeż usprawiedliwiać można krakowian „ciężkiemi czasami“, skoro udział na wystawie był co do kosztów znakomicie ułatwiony i dostępny nawet dla ubogiego rzemieślnika? Zachowanie się Krakowa w obec wystawy nie dawało się usprawiedliwić, więc delegatowi krakowskiemu można zrobić chyba ten zarzut, że zamiast wybierać sobie zadanie tak trudne, powinien był odsłonić szczerą prawdę i słowem pojednania zatrzeć przykre wrażenia. W mowie delegata krakowskiego spostrzegliśmy taki zwrot, bo była tam wzmianka o nieufności Krakowa w powodzenie wystawy, ale na tem też skończyło się całe przyznanie i skrucha. Daleko dalej posunął się główny organ krakowski *Czas*, który w chwili zamknięcia wystawy poświęcił jej fejleton pod każdym względem uwagi godny i sympatyczny. Tutaj po raz pierwszy spotkaliśmy się ze szczerem i otwartem wyznaniem, że Kraków źle sobie postąpił usuwając się od udziału w wystawie, która zaszczyt przyniosła krajowi a jego stolicy wystawiła świadectwo, że mimo pozorów nie wiele obiecujących, zdolną jest do czynów dodatnich i pożytecznych. Po raz pierwszy od wielu lat krakowski organ wyraził się o samym Lwowie, jako mieście, także tak życzliwie i pochlebnie że lwowscy czytelnicy nie dowierzali własnym oczom spotkawszy się z tym panegirykiem. Lwów z wystawą swoją otrzymał w tym artykule tak moralną satysfakcyę, że choć gniewał się bardzo na Kraków, chętnie teraz zapomina o wszystkiem. Kraków zaś poszedł za głosem sprawiedliwości i wcale się tem nie upokorzył, że rozumnie rzecz całą przedstawił. Tylko w ten sposób, ów niedorzeczny, nieuzasadniony, słusznie wszędzie po za Lwowem i Krakowem wyśmiewany i chłostany antagonizm partykularystyczny między dwiema stolicami Galicyi, może być radykalnie usunięty. Tego pragnie szczerze jedna i druga strona, bo obie czują dobrze śmieszność sytuacyi, a skoro już jedna zrobiła zwrot rozumny, miejmy nadzieję, że wkrótce inne zapanują stosunki.

Jakiś fatalizm jednak cięży nad stosunkami Lwowa do Krakowa, bo nawet i ten tak pożądany pierwszy krok do zgody nie odbył się gładko. *Czas* bowiem w dwa tygodnie po fejletonie chwalącym Lwów i wystawę, umieścił na tem samem miejscu kronikę lwowską, która traktując stosunki nasze, żartobliwie dotknęła także wystawy w sposób niestosowny. Autor fejletonowej kroniki lwowskiej, niezręcznie może ale pewnie bez złego zamiaru, zażartował sobie z wystawy, a redakcya *Czasu* nie była dość ostrożną i umieściła rzecz bez żadnych poprawek lub zastrzeżeń. Powstał z tego powodu we Lwowie hałas trudny do opisania. Wyczerpnięto cały słownik gniewnych uniesień, jakiemi się u nas wojuje w polemice dziennikarskiej, odsądzono *Czas* od czci i wiary, wyklęto go i zabroniono prenumerować w lwowskich kawiarniach! *Czas* przyznał się do nieostrożności, odwołał wszystko w następnym artykule, ponowił zapewnienie swojej życzliwości dla Lwowa, ale pomogło mu to tylko w opinii ludzi rozważnych i umiarkowanych, a więc u mniejszości. Większość, która przyklaskuje nieraz daleko niestosowniejszej swawoli humorystycznej w naszych dziennikach, będzie to zawsze wypominać *Czasowi* ten krok fałszywy.

Wpada to każdemu w oko, że Warszawa wyprzedziła Lwów, nawet w sprawie tak specyalnie lwowskiej, że nikt tego oczekiwać nie mógł. W Warszawie a nie we Lwowie najpierw pojawił się systematyczny w formę zbiorowego dzieła ujęty opis wystawy naszej. Tem przykrzejsze wrażenie sprawia ten fakt, jeżeli się zważy, że warszawski przedsiębierca wyprzedził nas w dziele, które u nas nietylko oddawna w projekcie istnieje, lecz nadto nie potrzebuje szukać przedsiębiorczego nakładcy, mając do rozporządzenia znaczną na ten cel przez sejm uchwaloną kwotę. Jest to jedna z ujemnych stron działalności wystawowego komitetu, który dopiero teraz po zamknięciu wystawy, po wycofaniu z niej wszystkich przedmiotów, zamierza zrobić użytek z hojności sejmu i werbuje współpracowników fachowych do zbiorowego opisu wystawy. Przypuszczamy, że każdy z tych współpracowników badał wystawę dokładnie, choć nie wiedział, że będzie powołany do uczestnictwa w zbiorowym opisie. Jeżeliby tak było, jeżeliby artykuły obecnie ponawiane miały być tylko reprodukcyą dziennikarskich sprawozdań, upozorowaną czasem cechami fachowej ścisłości, to pieniądze wydane na całą pracę byłyby zmarnowane. I tak już nie da się powetować strata ztąd powstająca, że współpracownicy zbiorowego opisu wystawy muszą polegać zupełnie na reminiscencyi, która nie zastąpi żywego obrazu, chociażby się opierała na najsumienniejszem studyowaniu, zawsze musi stracić na tem sama praca, chociaż nie brakło pewnie czasu do podjęcia jej w porze właściwej, podczas trwania wystawy.

Równocześnie z wystawą rolniczo-przemysłową i cały miesiąc po niej trwała wystawa obrazów, która w tym roku co do liczby wystawionych przedmiotów sztuki prześcignęła znacznie zeszłoroczną. Sama liczba jednak nie rozstrzyga o wartości, zwłaszcza w obec faktu, że między wystawionemi obrazami, znajdowało się wiele znanych już z poprzedniej wystawy. Główną zasługą tegorocznej wystawy jest to, że dała nam poznać pędzel Siemiradzkiego, wprawdzie tylko na studyum mniejszych rozmiarów przedstawiającem głowę kobiety, ale już i za to wdzięczni jesteśmy, skoro niepodobna było oglądać we Lwowie wielkich arcydzieł tego mistrza. Matejko wystawił trzy obrazy: „Wita Stwosza“, „Św. Ludwika wyruszającego na wyprawę“ i „Władysława Warneńczyka.“ Po Stefanie Batorym, którego niedawno Lwów oglądał, utwory te nie mogły sprawić tak silnego efektu, jaki zaraz staje na myśli, gdy się mówi o obrazie Matejki. Ś. p. Artur Grotger jest także reprezentowany na wystawie dwiema akwarelami i jednym niewykończonym obrazem. I o tych utworach możnaby powiedzieć to, cośmy powyżej powiedzieli o obrazach Matejki. Publiczność nasza nie zadawala się czemkolwiek, lecz wymaga coraz wyższych arcydzieł i zostanie zaspokojoną niezadługo, gdyż praca Matejki około wielkiego obrazu „Bitwa pod Grünwaldem“ ma szybko naprzód postępować a rezultat jej prześcigą najśmielsze oczekiwania, jak zapewniają ci, którzy mogli się u mistrza poinformować i zaglądnąć do jego pracowni. Z warszawskich artystów p. Wojciech Gerson najhojniejszym był dla wystawy. Jego wielki obraz „Kopernik wśród znakomitości współczesnych“ sprawił silny efekt szlachetnością kompozycyi i szlachetnem wykończeniem.

(d. n).

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W WARSZAWIE.

Siemiradzki, *Matejko*, oto dwa imiona znajdujące się obecnie na ustach wszystkich miłośników sztuki. Tłumy odwiedzały Wystawę i salę Resursy, aby podziwiać prace naszych mistrzów, dające tak chlubne świadectwo wyższości rozwoju artyzmu polskich malarzy.

Świecznikami Chrześciaństwa nazwał pan Siemiradzki męczenników za wiarę, która jako „światło świeci w ciemnościach, a ciemności go nie ogarnęły,“ wedle słów ewangielisty użytych za allegoryczny temat obrazu. Wyznawcy zasad Chrystusa z rozkazu okrutnego Cezara skrępowani, na słupach zawieszeni, smołą oblani, jako żywe pochodnie spłonąć mają, służąc za widowisko pijanej szałem i rozpustą bałwochwalczej tłuszczy składającej otoczenie Nerona i ulubieńców. Artysta wybrał chwilę rozpoczęcia tego ohydnego igrzyska. Mrok zapada, w ogrodach okalających pałac Cezara, przygotowano już wszystko do zapowiedzianego tłumowi widowiska. Szereg żywych pochodni, u podstaw przybranych kwiatami, zakończonych odkrytem popiersiem męczenników, czeka chwili w której oprawcy podłożą ogień... Widzimy niektóre twarze skazanych, wy-

mowne przecudną charakterystyką: starzec, spokojny w obec męczarni i śmierci, z litością niemal poglądający na tłum rozbestwiony, na te ciemności duchowe nieprzeniknione ową prawdą jaśniejącą daremnie; opodal młoda kobieta załzawione oczy zwraca ku niemu; szukając umocnienia w jego spokoju. Wyraz tych obu postaci, odmienny a tak głęboko pomyślany i trafnie pochwycony, wywiera przejmujące wrażenie. Artysta jednak główny nacisk uwagi zwraca na drugą, wyższą połowę obrazu, przedstawiającą nam patrycyat Rzymski, w całym jego przepychu, rozpasaniu, w całej potędze pogańskiego bezwstydu, w czem przecież artysta wykazał całą sumienną pracę historyczną i archeologiczną, oraz cały zasób natchnienia estetyki, tworząc, szczególniej z tej grupy dworaków, heter, lutnistek, graczy, zabawiających się na dole i wschodach wiodących do pałacu, wspaniałe, olśniewające zjawisko starego pogańskiego Rzymu. Jakaż tam rozmaitość i bogactwo barw, kształtów, postaci, jaka wyborna charakterystyka owej bachanalii, tak dalece przytępiającej uciechą zmysłów wszelkie ludzkie uczucia, że nawet straszliwa chwila zapalenia żywych pochodni, na znak już dany czerwoną chustą przez jakiegoś dostojnika z krużganku pałacowego, gdzie ukazuje się lektyka Nerona, dźwigana przez wspaniale przybranych murzynów — ni poprzednie okrutne przygotowania nieszczęsnych ofiar do wymyślnej katuszy, nie zdołało im przerwać ich zabawy, przejąć ich wrażeniem innem nad trochę zaciekawienia, przestrachu, a ledwie na niektórych kobiecych twarzach odcień litości się przebija.

W tem właśnie cała prawda i trafność psychologiczna charakterystyki. P. Siemiradzki snać głęboko obmyśla każdy szczegół swej pracy. Nietylko twarze i postacie, ale przedmioty martwe, marmury, rzeźby, wszystkie akcesorya traktowane po mistrzowsku. Pobieżność sprawozdawcza nie pozwala nam rozszerzać się nad szczegółami tej pracy, nad jej rozlicznemi pięknościami, które odkrywa się coraz wyraźniej, rozpatrując się pilnie w owym tłumie, niemal przygnębiającym nagromadzeniem tychże szczegółów wyobraźnię widza — nie możemy jednak zamilczyć o wybitniejszych postaciach odznaczających się pomiędzy innemi. Oto z pośrodka zabawiających się dworaków Cezara, bachantka wpół naga, wysunęła się naprzód, wsparła o gzems marmurowy i patrzy — znać w jej postawie ciekawość, zadumę i pewne znużenie orgią, w której snać że tylko co przewodziła — patrzy na męczennicę Chrześciańską — tak młodą, tak piękną jak ona — i czujemy, że w głowie tej, niedbale o dłoń wspartej, budzi się myśl, zastanowienie jakieś... Bachantka ta — to niemal upostaciowanie szalejącej Romy, w łonie której przecież, choć zbrukanem rozpustą, istniał pierwiastek szlachetniejszych instynktów, wyradzający tęsknotę ku nieznanemu, lepszemu, wreszcie przemieniający heterę w pokutnicę. Między ową bachantką a męczennikami nowej ofiary, artysta postawił na dzielącym ją od ogrodów gzemsie, sfinksa, tę wieczną zagadkę... pomysł zaprawdę głęboki i dający wiele do myślenia.

Prześliczne są twarze kilku kobiet z orszaku dolnego — postać gladyatora barbarzyńcy i niewolnicy zamykających orszak, patrzących z ponurą niechęcią na krwawą zabawę najezdzców, która im może uprzytomniła wspomnienie poprzedzające ich los teraźniejszy, igrzyska wojenne zwycięzców. Neron, niesiony w przepysznej lektyce wraz z ulubienicą swą Sabiną, jakkolwiek scharakteryzowany wiernie, ale nieco za mało wyraziście—twarz jego oznacza tylko przesyt, nudę, zobojętnienie — brak mu owych innych życiem jego objawianych stron tego dziwnego charakteru: był to przecie zbrodniarz niepospolity— matkobójca i „wielki artysta.“ Twarz jego musiała nosić cechy tej duszy, przepaścistej jak wulkan ziejący pożogą i dymem, tej wyobraźni lubującej się w najstraszniejszych widowiskach i pełnej potwornych zachceń zbrodniczych rozrywek. Lice Sabiny Poppei, zaledwie postrzegamy w cieniu lektyki, lecz wyraz ma właściwy, a nawet pokład różu zabarwiający jej policzki, zgodny jest z tradycyą o obyczajach tej zbytnicy, o której piszą, że dbała o swą piękność z niesłychanem staraniem i na samą kąpiel zużywała mleka dziennie od dwustu oślic, utrzymywanych dla niej umyślnie na ten użytek.

Pochodnie Nerona zjednały naszemu artyście europejską już sławę — cieszmy się więc chlubą talentów krajowych, żal nam tylko, że praca ta nie pozostała na zawsze własnością naszego miasta.

Przegląd literacki.

Powieści Kraszewskiego: Krzyżacy; Powrót do gniazda; Historya o Janaszu Korczaku i pięknej miecznikównie; Ostatnie chwile księcia wojewody. (Drukowane w Warszawie 1875 r.)

(Dokończenie).

Taka jest treść tego opowiadania. Typowe postacie wojewody i pisarza skreślone po mistrzowsku: w nich przedstawił autor wszystkie główniejsze wady i zalety charakteru przodków naszych, a po części i ich potomków. Sam Janusz nie przedstawia takiej plastyczności; stałość jego w wierze i miłości robi go wprawdzie sympatycznym, ale miłość u niego przeważa nad wiarą, nie widać w nim religijnego zapaleńca ani męczennika. Wszelako nie widoki ziemskiej miłości czynią go stałym w wierze, gdyż Fryda nie zważa na przekonanie religijne: prędzej może Janusz służyć za przedstawiciela wyznawcy protestantyzmu nie sercem, lecz rozumem, na podstawie wyrozumowanych wniosków. O apostołach i krzewicielach protestantyzmu w Polsce wspomnieliśmy powyżej. Wszelako autor, nie idzie bynajmniej za tymi, którzy wziąwszy sobie za zasadę ganić to, co się stało, a zachwycać się tem, co nie nastąpiło, lubią rozpływać się w uniesieniu nad protestantyzmem, z lubością marząc o tem, co *byłoby* nastąpiło, gdyby Polska została była protestancką. Z drugiej jednak strony, Kraszewski chciał być bezstronnym i naszkicowawszy powyżej wspomniane wizerunki pasibrzuchów i faryzeuszów protestanckich — wizerunki podobne do historycznych postaci Stankarów, Ochinów i innych reformatorów — wprowadza jednak i prawdziwego, wierzącego ewangielika Szałaja, który gromi nadużycia i ziemskie widoki pseudo-apostołów. Wynikiem całej powieści jest to przekonanie, że i reforma religijna — danajski podarek Niemców dla Polski — nie na wiele przydała się przodkom naszym: wniosła ona tylko spory i rozdwojenie, otworzyła Polskę bandom napływowych awanturników, których usiłowania skończyły się tem, że większość szlachty, jak Pisarz, wróciło na łono dawnej religii.

Następnie Kraszewski daje czytelnikom obrazek z XVII stólecia p. t. „Historya o Janaszu Korczaku i pięknej Miecznikównie.“ Inna tu już atmosfera, inna chwila dziejowa. Są to czasy bohaterskich zapasów Jana III z niewiernymi — ostatnie świetne lata rycerstwa polskiego. Na tle wypadków odsieczy wiedeńskiej autor osnuł proste dzieje córki pańskiej i ubogiego młodzieńca, który własną zasługą i poświęceniem dla rodziny ukochanej, dobija się znaczenia i ręki swojej Jadzi. Miecznik i Miecznikowa — dzielne to postacie, zahartowane i mężne; zwłaszcza Miecznikowa, to typ, przypominający Chrzanowskie i Daniłowiczówny; umie ona poczynać bohatersko w walce z zasadzką tatarską i przy oblężeniu zamczyska. Jadzia, to także postać już nie dzisiejsza — czuła i tkliwa, lecz mężna i bynajmniej niesentymentalna. Rotmistrz Dulęba to niby Mohort „z pancernego znaku.“ Chytry Dorszak — przyjaciel tatarski i zdrajca swoich, jego żona nieszczęśliwa Agafia i kilka innych podrzędniejszych postaci uzupełniają wdzięczny i piękny, a jednak mężtwem i bohaterstwem tchnący obraz, który bez wahania zaliczamy do najlepszych utworów Kraszewskiego. O pysznych opisach miejscowości, jak np. stepów kresowych, nie ma co i wspominać: mistrzowstwo Kraszewskiego w podobnych opisach znanem jest oddawna.

Rozstawszy się z tym ostatnim odbłyskiem zachodzącego słońca potęgi i przewagi rycerskiej, wkraczamy w wiek XVIII — epokę wszechstronnego i głębokiego upadku.

Pierwszą połowę XVIII wieku Kraszewski przedstawił we wspaniałej trylogii powieściowej z czasów obu Augustów saskich p. t. „Hrabina Cosel“. „Brühl“ i „Z siedmioletniej wojny.“ O tych trzech utworach nie będziemy tu mówili, dla tego że wszystkie one były już cenione w szpaltach niniejszego pisma, a mianowicie w kwartalnych sprawozdaniach o Bibliotece Warszawskiej, w której wszystkie te trzy powieści były drukowane. Zresztą zajmują się one niemal wyłącznie obyczajami i intrygami dworu drezdeńskiego, sprawy polskie dotknięte tu czasem tylko zlekka, a z kilku występujących osób polskiego pochodzenia mamy tu zacnego Zaklikę (Hrabina Cosel) poczciwego Masłowskiego (Z siedmioletniej wojny), a zresztą typy nieciekawe — dzieci smutnej epoki rozprzężenia obyczajów, gdy przodkowie nasi, za przykładem dworu „popuszczali pasa“, czego smutny, lecz wyborny, choć niby mimochodem rzucony obrazek znajdujemy w opisie uczty u Masłowskiego w powieści „Z siedmioletniej wojny.“ Dodamy tu jeszcze to tylko, że przewodnią myślą tych trzech utworów, jeśli nam wolno jej się dobadywać, jest zapewne wykazanie źródeł szerzącego się wówczas zepsucia — zgubnego wpływu przykładu z góry — i smutne znaczenie dla kraju obcej królewskości saskiej i niemieckiej, która nie wyszła Polakom na lepsze od niemieckiego lennictwa w Prusach lub od niemieckiej reformacyi, jak to wykazał autor w dwu poprzednich utworach. Odważamy się tylko wypowiedzieć przy tem zdanie, że demoralizujące wpływy Sasów byłyby zupełniej i wszechstronniej wykazane, gdyby autor był wprowadził do powyższych trzech opowiadań więcej żywiołów krajowych, gdyby nie był np. pominął dwukrotnych zapasów Augustów z Leszczyńskim, zamieszek wewnętrznych, konfederacyi Tarnogrodzkiej i t. p.

Wiadomo że ostatniej epoce XVIII wieku Kraszewski poświęcił bardzo wiele swych utworów. My tu powiemy, tylko o jednej, zdaniem wielu, a podobno i samego autora, najlepszej powieści z owego okresu p. t. „Ostatnie chwile księcia wojewody“ (Panie Kochanku). Zgodnie z wyrażonym przez nas powyżej systemem zapatrywania się, polegającym na badaniu myśli przewodniej i wyszukiwaniu momentów dziejowych, w tym ostatnim utworze, o którym mówić mamy, upatrujemy głównie czynnik swawoli magnatów, tak zgubnej dla Rzeczypospolitej. Nadto w utworze objęte są w rzuconych od niechcenia wzmian-

kach i rozmyślaniach i inne także czynności upadku, a swawola magnata przedstawioną jest jako pociągająca za sobą karę historycznej Nemezys, chociaż chwilowo i w pewnych wypadkach wynagrodzona skruchą i pokutą, zagładzona przebaczeniem pokrzywdzonych.

Postać Karola Radziwiłła wojewody wileńskiego, zwanego Panie Kochanku — typ ulubiony naszej literaturze i bardzo często wyprowadzany w utworach Rzewuskiego, Pola, Syrokomli, samego Kraszewskiego i innych.

Kraszewskiemu szczególniej dobrze znaną jest ta postać, jeszcze w żywej tradycyi; gdyż w dzieciństwie i w pierwszej młodości wychowując się w Biały, gdzie przebywał często książę i gdzie żywota dokonał, nasz autor miał sposobność znać ludzi, którzy służyli na dworze wojewody i z ich opowiadań zaczerpnąć.

Jak to zwykle bywa u nas, pochopnych do wszelkich ostateczności i z trudnością znajdujących pomiędzy niemi punkt środkowy, książę Panie Kochanku, był już to przedmiotem czci i uwielbienia, już to (dziś właśnie u zwolenników złudnej reakcyi pojęć) postacią wstrętną. W niedawnej mianowicie epoce zbyt różowego zapatrywania się na wszystkie bez wyjątku objawy i wypadki przeszłości, nie wyłączając i stron najciemniejszych, zachwycano się tradycyjnie przekazanym humorem, swobodą księcia w stosunkach publicznych i obyczajach, jego hojnością, jego przewagą w kraju, a zwłaszcza na Litwie i t. p. Dziś, przeciwnie, są tacy, którzy odmawiają Radziwiłłowi, wszelkich zdolności, wykształcenia, a nawet poczucia obywatelskiego, piętnując go, jako słynnego łgarza, opoja i samowolnego despotę. Prawda, jak zwykle, leży w pośrodku. Panie Kochanku nie był wolnym od wad właściwych epoce, narodowi i klasie społecznej, do której należał; zresztą musiał hołdować pojęciom swego czasu i niepodobna mu było wznieść się do pojęć niektórych dzisiejszych krytyków pozytywnych, jak ci tego zdają się żądać. Co więcej, ujemne cechy i wady tej postaci są, niestety, właściwemi i licznym dzisiejszym przedstawicielom tejże narodowości, gdyż były to braki i wady nie przypadkowe, lecz przeważnie narodowe. Z drugiej jednak strony, miał Panie Kochanku wiele przymiotów i zalet: cóż to np. za szczero-polska dobroć serca, ktora natychmiast przebacza urazę najzawziętszym wrogom, skoro tylko o przebaczenie proszą, która zawsze jest pochopną do hojnego wynagradzania krzywd, zadanych w gniewie lub przez krewkość? Dalej czyny publiczne księcia zanadto były poniewierane; dziś jego dobre chęci nie ulegają wątpliwości, a że nieraz był w błędzie i że nie miał zdolności i sił ażeby swe chęci urzeczywistnić — to prawda, ale, godzi się zapytać, wieluż było takich, za czasów Radziwiłła albo choć i po nim, którzy mieli dość sił i zdolności urzeczywistnić swe dobre chęci?

Treść książeczki, o której mówimy, bardzo prosta i niezawikłana. Stary już i chory, niemal ślepy, wojewoda zjeżdża do zamku Bialskiego, gdzie miał już pożegnać się z życiem. Jeden z dworzan, podsłuchawszy majaczenie chorego księcia, dowiaduje się, że oczekuje on przed śmiercią przybycia i przebaczenia jakiejś Felisi. Inny dworżanin opowiada mu całą dawną historyą z tą Felisią Wojzbunówną, którą książę, będąc jeszcze młodym miecznikiem, był porwał, a choć potem chciał się z nią ożenić, obrażona dziewica i jej ojciec odrzucili z pogardą ofiarę. Nie przyjęli też i pieniędzy, którymi książę zwykł krzywdy okupywać, lecz rzucili na niego przekleństwo, że umrze bezpotomny. Felisia zostawszy siostrą miłosierdzia i wolą Opatrzności, gdy wojewoda, pewny że ją jeszcze ujrzy, dogorywał w zamku Bialskim, zakonnica przyszła go pielęgnować, ze słowem przebaczenia na ustach.

Oprócz tego głównego wątku i głównych postaci — księcia i Felisi — występuje tu kilka innych, z których najciekawszy stary burgrabia Napiórko; nie pozbawione też są interesu krótkie opowiadania i uwagi starego o dawnych Radziwiłłowskich splendorach i historyach przy oprowadzaniu jednego z dworzan po zamku Bialskim.

W końcu przytoczymy jeszcze kilka wyjątków z rozpamiętywań księcia wojewody. Mea culpa, mea culpa! Choć Radziwiłł, alem człowiek i grzeszny. Przyszło mi się rodzić na ciężkie czasy... Prawda; ślepy byłem często, za to też mnie Pan Bóg na dni moje ostatnie ukarał ślepotą. Ślepym był, alem drogi szukał, a ludzie niepoczciwi wskazywali mi ją bałamutnie. Zbawienia kraju pragnąłem zawsze; któż mógł wiedzieć w kim ono było i gdzie było? Radomska, tak, ślepym był (mówi książę do urojonych widziadeł przodków), prawda... Ale co mnie Barska kosztowała! Com ja winien? Chodzilibyście jak ja z zawiązanemi oczyma po tym labiryncie. Gdzie się człowiek obrócił, przepaście... Złotem Radziwiłłowskiem nie było ich zasypać, ani łzami Radziwiłłowskiemi nie zalać... Życie było grzeszne, alem się, Panie Kochanku, urodził pod słotą... Po błocie iść, a nie zawalać się, to chyba anielska rzecz; jam skrzydeł nie miał i brnąłem po kostki. Miecznik najwięcej nagrzeszył, a wojewoda długo za niego pokutował. Na świecie odbyłem ciężką za grzechy karę... Zapłaciłem za wszystko z nawiązką: groszem, krwią, łzami, tułactwem, biedą. Wszak po barskiej dosyć, żem na tragedyą patrzał, co nas rozćwiertowała, a tego mi nie liczycie? Radziwiłł musiał się potem kłaniać ekonomczukowi (Poniatowskiemu) i w rękę go całować, a Czartoryskich do piersi przyciskać. Co roku potem szły klęski i upokorzenia. W porę oślepłem, aby „nie patrzeć na resztę“ (str. 14—19).

O swoich spadkobiercach i losach swego domu, autor tak każe księciu mówić:

„W Nalibockiej puszczy z niedźwiedzi zejdzie na krety. Kto wie co z Hieronimowskiego bębna wyrośnie (ks. Dominika)... Mnie Wiśniowiecka rodziła a jego jakaś Taxica — inna krew... Jam niedźwiedzie do karety zaprzęgał, on chyba kozy do wózka dobierze... może osły? Wnuki gotowe chodzić piechotą... Złe mu imię dali — nie było pono żadnego Radziwiłła Dominika, bo wszyscy byli całą gębą Domini (Panowie). Już to złe *ómen*, bo na nim ród zmaleje, jak imię. Głowy się im pozawracają, roztrwonią Radziwiłłowszczyznę, rozlezie się to, rozproszy, zczeźnie. Będą w końcu chodzili po jałmużnie z herbem na tobołach... Moje oczy po za grób widzą, choć ślepe. Czarno tam będzie, czarno... W Nieświeżu puszczyki i sowy koncerta dla wróbli odprawiają... Zapusty się skończyły, popielec i post (str. 26).

Konającemu już wojewodzie, Kraszewski kładzie w usta następujące słowa:

„Już mi ramiona popuchły, tyle wieków na nich dźwigając i orły z trąbami (herb Radziwiłłów). Hej, hej, panie Kochanku! Orły te niegdyś wysoko latały, a trąby głośno *larum* grały światu, aż ptakom skrzydła poobcinano jak kurom, a trąby już chyba na pogrzeb zagrają... Skończyło się, Panie Kochanku... Wojewodziński mundur doszarzałem do nitki. Dajcie mi go do trumny, nikt w nim już chodzić nie będzie; dla tych cieńkuszów za przestronny. Ale Bóg wielki, nad Radziwiłłami się zlituje! A jeśli przeważą grzechy nasze i przyjdzie kara, Panie Kochanku, umiejcie nosić nieszczęście tak, jakeście szczęścia nosić nie umieli! Tylko się nie uginać, nie leźć w błoto. Łachman purpurą się stać może, lepsze dziury niż plamy (str. 193). *W.*

Nowe wydawnictwa.

Dzieł Juliana Bartoszewicza, wydawanych nakładem Kazimierza Bartoszewicza, wyszedł tom drugi obejmujący „Historyą literatury polskiej“ potocznym sposobem opowiedzianą. Wydawca pododawał przypiski, dopełniające wiadomości podane w samem dziele, a przez bieg czasu uległe zmianie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Michalinie, której nazwiska żadnym sposobem odczytać nie możemy, mieszkającej przy ulicy Małej Sadowej w domu pani Milewskiej, donosimy, że przesłanie książek za nadesłane nam rs. 10 nie prędzej uskutecznimy, aż odbierzemy dokładny adres z wymienieniem nazwiska, ostatniej stacyi pocztowej i miejsca zamieszkania.

Pani Józefie Z. w Moskwie. Przyjaciel dzieci odpowie zupełnie życzeniu. Radzimy tylko z początku czytać głośno małe powiastki z dodatku a gdy zajęcie się rozbudzi, przejść do większych a następnie do artykułów historycznych i innych. Mamy dowody, że najniechętniejsze dzieci do nauki, najleniwszym obdarzone umysłem, przy pomocy Przyjaciela dzieci, zmieniały się zupełnie na wielką radość rodziców i nauczycieli. Cierpliwość jest tu także niezbędną: co wynikiem jest natury lub złego usposobienia, to nie da się tak łatwo przerobić.

Od Redakcyi.

W Warszawie, przy ulicy Brackiej pod N. 10 w suterynach, mieszka pani Barbara Machnicka, staruszka sześćdziesięcioletnia, chora, wycieńczona, bardzo uboga i nie posiadająca żadnych środków utrzymania. Polecamy ją zatem miłosiernej opiece naszych Czytelniczek, na którą pod każdym względem zasługuje.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 3 (15) Ноября 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 46.

N. 1. Ubranie z paletotem luźno wcinanym. Krój paletota podług ryc. 5—7.

Do spódnicy bez garnirunku, z gładkiego, ciemnego, wełnianego materyału, dodane długie vêtement takiego samego koloru, z materyału przerabianego w prążki. Przód i boki vêtement drobno przefałdowane i podpięte w festony a dół oszyty frendzlą jedwabną ze sznelą. Długi paletot z niestrzyżonego veloursu u dołu i z przodu objęty jedwabną wypustką z grubym sznurkiem, zapinany na dwa rzędy guzików szmuklerskich, (jakie podaje ryc. 11 i 13), miał na modelu kołnierz, 19 cent. szerokie mankiety i kieszonki ze skunksów. Do paletotów najmodniejsze są kołnierze futrzane wykładane w ten sposób jak kołnierze męzkie, i taki właśnie podaje ryc. 1.

N. 2. Ubranie z vêtement albo z tuniką.

Suknia z grubszego wełnianego materyału, może być odrobiona formą princesse, z dodaniem do przodu potrzebnej długości na poprzeczne fałdy, albo też mieć oddzielny stanik z długą baskiną i prostą tunikę upiętą w sposób na ryc. 2 wskazany. Na modelu tunika czyli draperya, oszyta była frendzlą sznelową z jaśniejszemi końcami, a spódnica i rękawy garnirowane były drobnem plisowaniem, oszytem ruszą ze strzępionej materyi jaśniejszego koloru. Kokardy i przepasanie mankietów ze wstążki 6 cent. szerokiej.

N. 5—7. Dwa wcinane, odmiennie zapinane paletoty. Krój na dodatku z formami N. X Fig. 50—57-a.

Jakkolwiek osoby lubiące zbytek i mogące dażo wydawać, utrzymują że piękne frendzle i koronki żadnego nie zepsują ubrania, ozdoby te jednak właściwe są tylko przy paletotach aksamitnych lub z ciężkich jedwabnych materyi, a do wszelkich obecnie używanych grubych lub z długim włosem materyałów, stosowniejsze są wypustki z grubym sznurkiem, lub grube sznury jedwabne. Na Fig. 50—57-a podajemy formę paletocika średniej długości, wcinanego z tyłu do figury a z przodu luźnego. Do skośnie zapinanego paletota, kraje się zwierzchnią połowę przodu z przypuszczeniem, odznaczonem kropkami na Fig. 50, spodnia zaś połowa ma brzeg prosty.

N. 5. Paletot prosto zapinany.

Czarny aksamitny paletot z lekko watowaną jedwabną podszewką, objęty był wypustką z grubym sznurem, a u dołu i przy kieszeni oszyty frendzlą jedwabną 17 cent. szeroką. Szmuklerskie guziki miały 4 cent. średnicy. Kołnierz mały stojący z wywiniętemi rogami, wszywa się w wązki pasek, zapina na haftkę, a spięcie zasłania kokarda z długiemi końcami, ze wstążki 6 cent. szerokiej z jednej strony atłasowej z drugiej serge.

N. 6—7. Paletot skośnie zapinany. Ryc. 6 przedstawia plecy paletota z kaszmiru indyjskiego, w miejsce wypustek oszytego grubym jedwabnym sznurem. Klapki przy kieszeniach, kołnierz i plisa przy mankietach są z aksamitu, guziki z konchy perłowej, jak na ryc. 12, podszewka lekko watowana jedwabna. Na ryc. 7 widzimy paletot z veloursu skośnie zapinany, także jedwabnym sznurem oszyty a prócz tego u dołu przy kieszeniach i mankietach, kilka razy przestębnowany. Kołnierz szeroko wykładany kraje się podług Fig. 28, a stosownie do wykroju szyi, potrzebną długość dodaje się w środku z tyłu. Do podłużnego wykroju dodana wstążka założona pod kołnierz i związana z przodu na kokardę z długiemi końcami.

N. 8—15. Pasmanterye, guziki i frendzle.

Do pasmanteryi, guzików i frendzli jedwabnych mieszana jest obecnie sznelo i perełki dżetowe czarne lub clair de lune; te ostatnie mają kolor ciemny popielatawy, błyszczący, zbliżony do przyćmionego chmurką światła księżyca. Moda używa i nadużywa tych błyskotliwych ozdób, lecz gust dobry nakazuje unikać przesady. Drogie guziki i niektóre frendzle można odrobić własnoręcznie szydełkiem lub sposobem zadziergiwanym.

N. 16—17. Paletot i płaszczyk. Krój i opis na dodatku z formami.

N. 18. Koronka robiona na poduszce z deseniem odznaczonym szpilkami.

80 nitek do przekładania i 3 grube, podwójne nitki do odznaczenia konturów deseniu. Deseń ze szpilkami Fig. 95 na arkuszu z krojami. Robota tej koronki wymaga nauki i wielkiej wprawy, a opis zrozumiały i dokładny jest niemożliwy.



N. 1. Ubranie spacerowe z półwciętym paletotem.

N. 2. Ubranie domowe z vêtement.

N. 22—23. Krzesło i podnóżek. Haft łańcuszkowy. Desenie na arkuszu z krojami Fig. 40—41.

Piękne krzesło dębowe, robotą snycerską, z wysoką wyściełaną poręczą, ma poduszkę w siedzeniu i poręczy, obitą suknem czarnem, ozdobionem pasami haftu łańcuszkowego. Na modelu dawane były na przemian dwa szerokie pasy przedzielane paskiem wązkim. Fig. 40 podaje deseń pasa szerszego i paska przedzielającego wązkiego. Fig. 40 deseń pasa węższego. Do roboty użyte włóczki angielskie w dobrze dobranych kolorach. Na modelu proste linie wąziutkich pasków były koloru ponsowego (pompejańskim zwanego) muszki na przemian blado-słomkowe i oliwkowe, a pasy szerokie kolorem jasno-niebieskim, ciemno oliwkowym, ponsowym, czerwonawo-bronzowym i blado-słomkowym. Gruby sznur przy poduszce krzesła i przy podnóżku kręcony był ze wszystkich kolorów użytych do haftu, równie jak i frendzla przy podnóżku.

N. 24. Wstawka z tasiemeczki koronkowej i roboty szydełkowej.

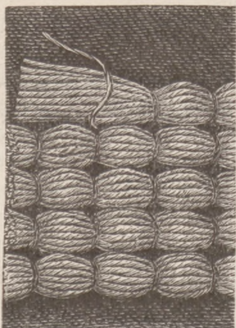
Szeroka tasiemka z ażurowym środkiem i robota szydełkowa, składa się na ładną wstawkę, która może być także węższa, to jest z dwóch tasiemek i jednego pasa roboty szydełkowej. Ta ostatnia składa się z dwóch rzędów, z których pierwszy zaczyna się 1 o. śc. w pikot tasiemki, 13 o. pow., 1 słupek podwójny w 6-te o. pow., * 5 o. pow., 4 pojedyńcze sł. brane w pentelkę, 3 o. pow., 1 o. śc. przyrobione w o. po 5-ciu pow., 5 o. pow., 1 o. śc. w czwarty pikot tasiemki, 5 o. pow., odwrócić robotę i zrobić dwa słupki w środku skrzyżowane, które u dołu przyrabia się w o. przy czterech słupkach, a w górze przedziela 3-ma o. pow. Powtarzać robotę od gwiazdki, przyrabiając 4-ry słupki za 3 o. pow. pomiędzy zkrzyżowanemi słupkami. W rzędzie drugim którym przyrabia się drugą tasiemkę, daje się 1 o. śc. w pikot, * 5 o. pow., 1 o. śc. za trzy o. pow. przy czterech sł., 5 o. pow. w czwarty pikot tasiemki, powtarzać od gwiazdki. Z brzegów obrabia się wstawkę sł. przedzielanemi 2-ma o. powietrznemi.

N. 25—26. Przykrycie do okna. Mozajka sukienna.

Owalne kółka mające 4 cent. środkowej szerokości a 3 1/2 długości, wykrawane z różno-kolorowych resztek sukna i flaneli, układane jedne na drugich w sposób wskazany na ryc. 25, i przestębnowane w maszynie przez środek nićmi czarnemi, stanowią pasy mozajkowe które układa się ściśle jedne przy drugich i przyszywa do tła przykrycia ukrojonego z ciemnego sukna, filcu lub innego grubego wełnianego materyału. Model przykrycia miał 110 cent. szerokości a 66 długości; w każdym z 3 rzędów złożonym mozajkowym pasie brzeżne miały mozajkę z dwóch kółek jasno-popielatych, 3 ponsowych przedzielanych czarnemi z 3 znów popielatych, po których jako tło następowało 6 kółek sarniego koloru. Rząd środkowy miał mozajkę taka jak poprzednie a tło z kółek zielonych, jedno-kolorowe paski były popielate, a brzeg w koło stanowił pasek z kółek stalowego koloru. Można jednak mozajkę zmieniać w różnych kolorach albo deseniach byle takowe były dobrze dobrane i ułożone. Z brzegów powinno tło wystawać w koło na 1/2 cent. gdyż do niego przyszywa się plecionkę z trzech pasków sukna 3 cent. szerokich, do środka złożonych i od spodu nieznacznie zeszytych. Jeden z tych pasków może być popielaty, drugi ponsowy, trzeci biały.

N. 27. Kapelusik kaszmirowy dla małej dziewczynki. Deseń wyszycia Fig. 42—43.

Rondko białego kapelusika jest z prostego, podwójnie



N. 3. Oszycie robione z włóczki do ryc. 21 w N-rze 47.

złożonego paska kaszmiru, mającego 100 cent. długości a 7 szerokości, któren zeszywa się z brzegów i przeszywa 3 razy w odstępie 1-go cent., do wewleczenia trzech drucików lub trzcinek mających 62, 52 i 42 cent. długości. Do tego rondka ułożonego prawie w płaskie owalne koło, wszywa się główkę skośną okrągłą, mającą 27 cent. średnicy, pod którą daje się muślinową podszewkę, wyszywa deseń sutaszem białym jedwabnym, zaszywa potrzebne fałdki i przyczepia do rondka. Do ubrania i wiązania pod brodą służy wstążka biała 3 cent. szeroka.

N. 28. Czapeczka aksamitna dla małego chłopczyka. Krój na dodatku z formami N. XV Fig. 93.

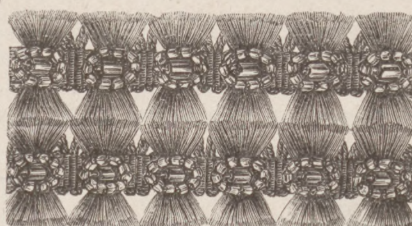
Czarną lub kolorową czapeczkę kraje się podług Fig. 93 ze skośnie złożonego aksamitu, daje jedwabną podszewkę a w czółko podwójny sztywny muślin, zeszywa się od dwukropka do gwiazdki, zaszywa oznaczone na Fig. 93 fałdy, przyczepia szpiczasty koniec do czółka w miejscu oznaczonem gwiazdką, dodaje z wierzchu kokardę ze wstążki, a brzeg oszywa w koło futerkiem. W środek dla nadania formy główce przyszywa się do czółka kawałek materyi 13 cent. szeroki w górze ściśle ściągnięty.



N. 5. Paletot prosto zapięty Patrz ryc. 6—7. Krój na arkuszu N. X Fig. 50—57a.



N. 6. Paletot skośnie zapinany. Patrz ryc. 7.



N. 8. Torsada szmuklerska.



N. 9. Torsada jedwabna ze sznelą.

N. 29—31. Kapelusze aksamitne ubrane strusiemi piórami, wstążką i materyą.

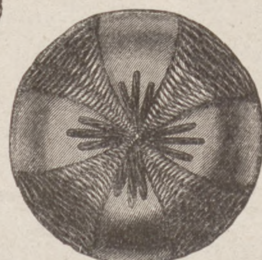
Ryc. 29 i 30 przedstawia z przodu i z tyłu kapelusz czarny aksamitny, którego rondko 6 cent. szerokie, podszyte jest w połowie niebieskim a w połowie czarnym jedwabnym repsem przymarszczanym na druciku. Podpięcie rondka stanowi wstążka blado-niebieska 7 cent. szeroka, przez środek drobno zmarszczona i przyszyta do podwójnego, 3 cent. szerokiego paska sztywnego tiulu. Pomiędzy podgarnirowaniem a rondem wpięte jest duże czarne strusie pióro, zręcznie na wierzch wywinięte. Główka z boku ubrana puklami z czarnego repsu, mającemi 7 cent. długości a 15 szerokości, od których przepięcie przechodzi z tyłu pod rondo i przytrzymuje szarfy z niebieskiej repsowej wstążki, widoczne na ryc. 30.



N. 16. Długi wcięty paletot. Krój i opis na arkuszu N. V, Fig. 15—21-a.

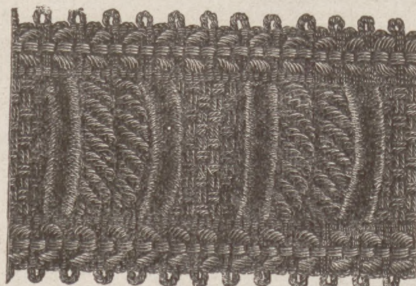


N. 11. Guzik z pokryciem szydełkowem.

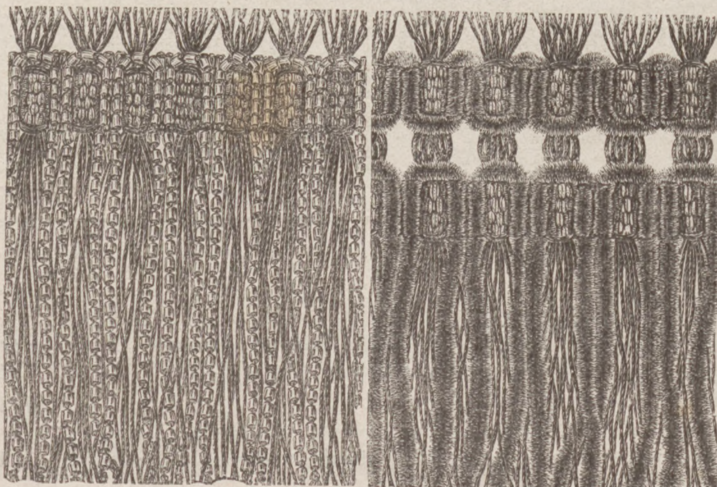


N. 12. Guzik z konchy perłowej.

N. 13. Guzik zdobny wyszyciem.

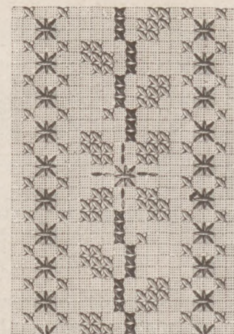


N. 10. Torsada ze sznelą.



N. 14. Frendzla z perełkami. N. 15. Frendzla ze sznelą.

N. 31 i ryc. 32 i 39 w N. 47 Tygodnika. Kapelusz z rondkiem à *la Stuart*. Rondko $3^1/_2$ cent. szerokie, ciemno-zielonego aksamitnego kapelusza, z przodu nad czołem formuje ząb zwany *Marie Stuart*, widoczny przy kapeluszu ryc. 32 i 39, w N. 47. Rondo z tyłu rozcięte i do głowy przystające, ubrane było krótkiemi zielonemi piórami i kokardami ze wstążki zielonej i blado-niebieskiej; ubranie z przodu stanowiły blado-niebieskie kwiaty z ciemnemi liśćmi i kokardy z blado-niebieskiej wstążki.



N. 4. Szlaczek do ryc. 8 w N. 47.

N. 32—34 i ryc. 25 w N. 47. Ubranie strojne wizytowe.

Krój N. XI Fig. 58—67.

N. 7. Paletot skośnie zapięty. Patrz ryc. 6. Krój na arkuszu N. X Fig. 50—57-a.

Powyższe ryciny przedstawiają strojną suknię z aksamitu i faille w granatowym kolorze. Spódnica ze wstawionym trenem, suto ubrana z przodu, kraje się podług zmniejszonego rysunku i miar, podanych na Fig. 67, a składa się z bryta przedniego *a*, klinów bocznych *b* i z dwóch brytów tylnych *c* które są z boków kliniasto ścięte a z tyłu proste; na tren aksamitny *d* potrzeba dwóch prostych, 50 cent. szerokich brytów, które w górze są w dwie podwójne głębokie kontrafałdy złożone i od spodu do zeszytych w górze, brytów spódnicy, między wierzch i podszewkę przyszyte, w sposób wskazany na spódnicy przewróconej na lewą stronę, ryc. 33. Ubranie przodu i boków stanowią plisy aksamitne 21 cent. szerokie, u dołu frendzlą sznelową oszyte, przedzielane materyą układaną w fałdy 4 i 3 cent. szerokie, i szeroka falbana. Na Fig. 67 oznaczone jest kropkami miejsce przyszycia na brytach tylnych ubrania z aksamitu, oznaczonego na formie literą *e*, na które zachodzi ubranie z materyi ułożone w poprzeczne fałdy i złączone z tyłu szarfą z faille której obiedwie części atłasem podszyte, mają 16 cent. szerokości a 125—130 długości. Na ubranie nad szarfami potrzeba dwóch kawałków materyi 22 cent. szerokich, a 53 długich. Stanik z długą baskiną składa się z części aksamitnych i faille; środkowe części przodu, ułożone są w drobne podłużne fałdki widoczne na ryc. 25, w N. 47. Zwierzchnią część obcisłych rękawów trzeba na zgięciu łokcia, przy szwie środkowym założyć w drobne fałdki

N. 35. Ubranie dla dzieci lat 1—3.

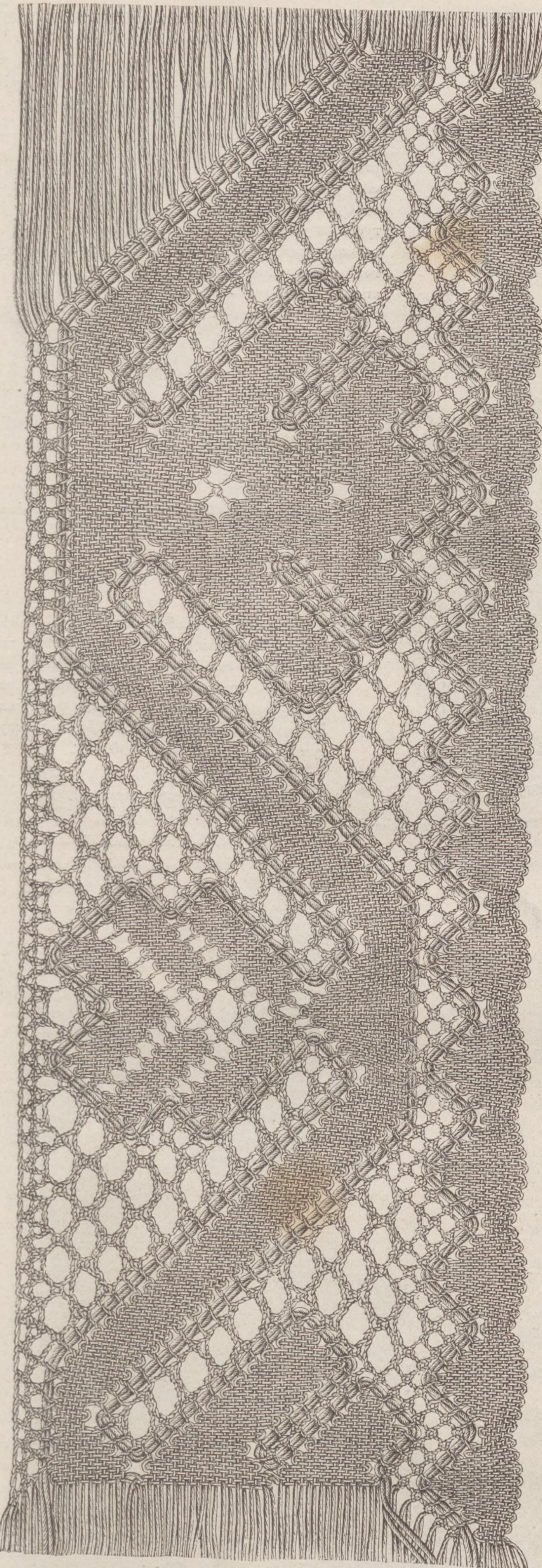
Batystowa biała sukienka ozdobiona wstawkami i falbankami haftowanemi; szarfa z materyi niebieskiej.



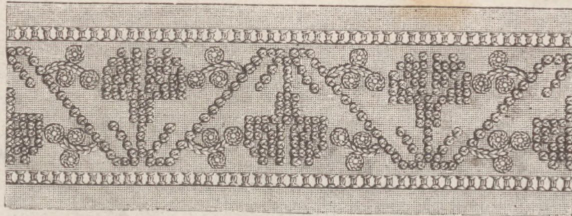
N. 17. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój i opis na arkuszu N. IX, Fig. 44—49-a.

N. 36. Suknia z białego lub kolorowego muślinu. Krój vêtement podług formy do ryc. 23—24 w N. 47.

Plecy vêtement zapinane na guziki z konchy per-



N. 18. Koronka niciana robiona ręcznie. Deseń na arkuszu Fig. 95.



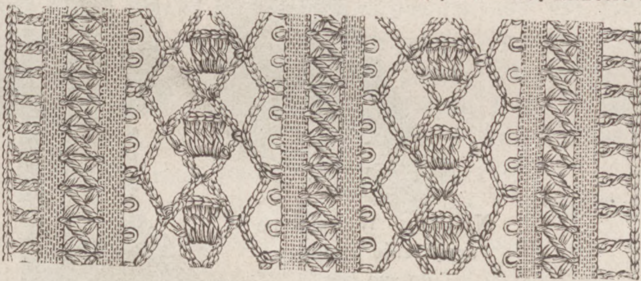
N. 21. Wszywka wyszyta supełkami do ryc. 46 w N. 47.

łowej, krają się jak do stanika z długą baskiną, resztę długości dopełnia bryt oddzielny, do prawego boczka przyszyty, i trochę pod kieszonką przyfałdowany, z luźnego brzega trochę podpięty i na drugi boczek zachodzący, w górze przymarszczony i do pleców, pod kokardą przyszyty. Boczki są pod tym brytem związane ze sobą. Przybranie sukni stanowią wstawki szydełkowe, falbanki plisowane i kokardy ze wstążki 7 cent. szerokiej.

Opis do N. 47.

N. 1—2. Sukienka princesse dla panienki lat 8—10. Krój na arkuszu N. XIV, Fig. 84—92.

Na formie podajemy połowę pleców princesse złożonych z dwóch części, jednak ponieważ te części są nader wązkie można połowę przodu i pleców krajać w dwóch zamiast w czterech kawałkach, podług ryc. 1—2. Przy kaszmirowej sukience ryc. 1 środek przodów w górnej połowie dodany jest z matelassu na 45 cent. długości, od dołu zaś składa się z plisek $^1/_2$ cent. szerokich które fastrygują się na podszewce. Kołnierzyk, mankiety i kieszonki są również z matelassu; u dołu sukni plisowanie 12 i $4^1/_2$ cent. szerokie. Sukieneczka zapinana z tyłu jaką widzimy na ryc. 2 zdobna plisowaniem 13 i 5 cent. szerokiem i galonem.



N. 24. Wszywka szydełkowa z tasiemeczką koronkową.

N. 3—4. Paletocik z boku zapinany dla panienki lat 8—10. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 68—4.

Ryc. 3 i 4 przedstawiają przód i plecy paletocika odrobionego z veloursu, matelassu lub t. p. Wypustka z grubym sznureczkiem otacza brzegi i idzie wzdłuż szwów; patki wystające z boków przytrzymane są rzędem guzików; rękawy mają proste mankiety dopełnione kontrafałdą z materyi, na którą potrzeba kawałka 16 cent. długiego a 10 szerokiego. Kieszonki i kołnierzyk z materyi zdobne kokardami z wstążki 5 cent. szerokiej.

N. 5. Paletot dla chłopca lat 9—11. Opis i krój na arkuszu N. XIII, Fig. 75—88-a.

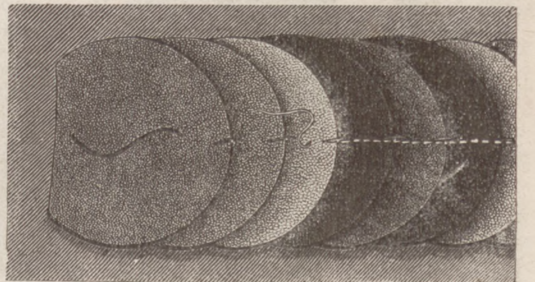
N. 6—7 i 11—12. Opis przy ryc. 36—37.



N. 22—23. Krzesło z wysoką poręczą i podnóżek. Deseń na arkusz Fig. 40—41.

N. 8—10. Kosz do robót lub na negliżyki.

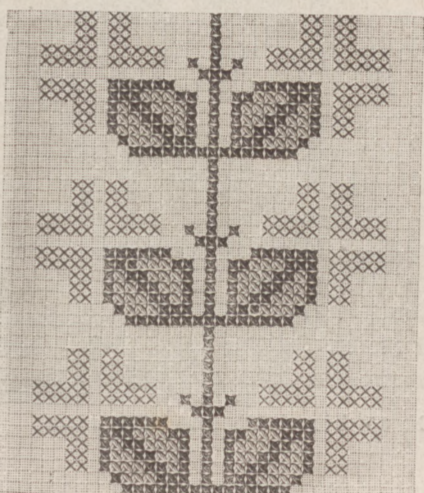
Kosz pleciony formą kuferka ozdobiony jest z wierzchu i z boków haftem krzyżowym w dwóch cieniach lub kolorach na tle z białej kanwy Jawa; brzegiem haftowanych pasów dana kratka ażurowa podług ryc. 9; rycina 10 załącza czwartą część deseniu na wieko a ryc. 4 w N. 46 szlaczek na boki wieka.



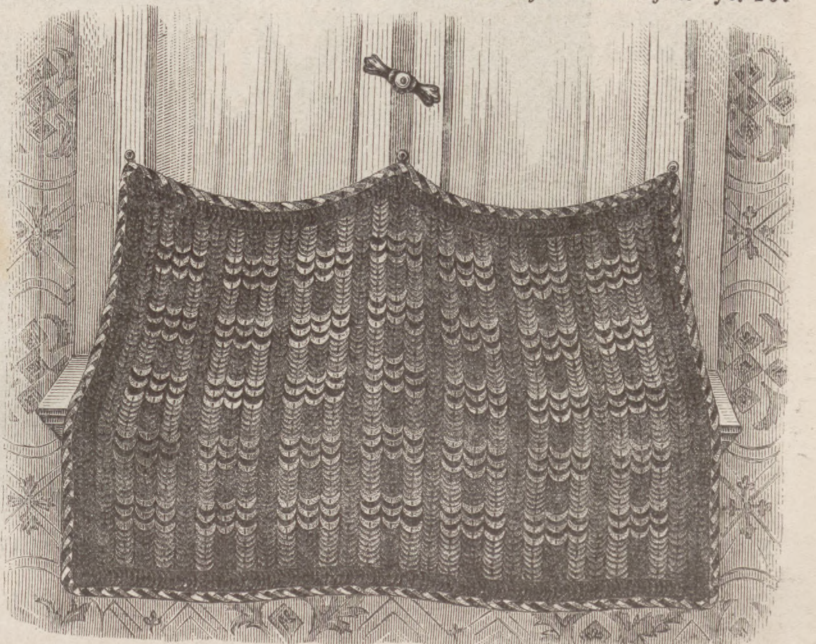
N. 25. Robota mozajki sukiennej do ryc. 26.



N. 19. Deseń na pasy do podnszki ryc. 42 w N-rze 47.



N. 20. Deseń wyszyty krzyżykami. Odpowiedni do ryc. 42 w N-rze 47.



N. 26. Przykrycie do okna. Patrz ryc. 25.

Wewnątrz koszyka dana podszewka wełniana lub z kolorowego żagnotu.

N. 13—14. Kapelusz aksamitny zdobny piórami.

Od spodu rondka czarnego aksamitnego kapelusza dany aksamitny pasek 2 cent. szeroki, zwierzchu przysłonięty bufowaniem z żółtego repsu, rondko zaś ozdobione wyszyciem z błyszczących perełek. Przybranie główki składa się z gałązki żółtych róż z ciemnemi listkami i z trzech piór strusich. Końce związane z boku są z wstążki 9 cent. szerokiej.

N. 27. Kapelusik dla małej dziewczynki. Deseń na arkuszu Fig. 44—48.

N. 15—17. Opisy na arkuszu z krojami N. IV i VI.

N. 18. Paletocik dla małego chłopczyka.

Krój dopasować trzeba podług załączonego przy ryc. 5, zmniejszając formę odpowiednio do wzrostu; za materyał służy welwet; sukno lub welours; brzegiem dane oszycie z futra, przody zapinane dwoma rzędami guzików.

N. 29—30. Kapelusz zdobny piórem materyą i wstążką.

N. 31. Kapelusz z rondkiem á la Stuart.

N. 19 i 22. Opis i krój na arkuszu z krojami N. VIII, Fig. 35—39.

N. 20—21. Paletocik przybrany á la breton dla dzieci lat 2—4. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 29—34.

Na ryc. 20 do przybrania paletocika użyty galon 5 cent. szeroki a na ryc. 21 widzimy torsadę ręcznie odrobioną z włóczki angielskiej lub rozczesanej kastorowej, podług ryc. 3 w N-rze 46.

N. 23—24 i 26. Opis i krój na arkuszu z krojami N. I i V.

N. 27—29. Kołnierz futrzany i rękawiczki obłożone futrem.

N. 28. Czapeczka dla chłopca. Krój na ark. N. XV Fig. 93.

Szerokie wykładane kołnierze, zbliżone formą do męzkich modne są i w tym roku; powiększej części nie są przyszyte do paletotów lub burnusów lecz urządzone do przypinania co uważamy za bardzo praktyczne. Rycina 29 załącza model kołnierza z krzyżującemi się, szpiczastemi końcami.

(Dokończenie nastąpi.)

N. 33. Wewnętrzne urządzenie spódnicy do ryc. 32.

N. 34. Przód sukni ryc. 32.

N. 32. Ubranie strojne wizytowe. Patrz ryc. 33—34 i ryc. 25 w N-rze 47.

N. 35. Ubranie dla dziecka lat 1—3.

N. 36. Suknia muślinowa.